



Uschnięta jabłoń w zagłębiu siarkowym.

FOT. M. KOPEC

RZED KILKU DNIAМИ wystąpiłem niezwykle ciekawych prelekcji. Oryginalny był sposób ujęcia tematu, a przede wszystkim referujący wykazał erudycję w zagadnieniach teoretycznych oraz znajomość spraw praktycznych. Odczyty traktowały o bogactwach naturalnych Rzeszowszczyzny, a ściślej — południowo-wschodniej Polski, oraz ujemnych dla życia organicznego następstwach ich eksploatacji czy przetwarzania. Wygłoszono je na posiedzeniu Zarządu Okręgu Ligi Ochrony Przyrody, które odbyło się w tarnobrzesckim zagłębiu siarkowym.

O występowaniu minerałów, udokumentowanych i domniemyanych zasobach oraz możliwościach ich eksploatacji, mówił mgr inż. Bolesław Kawalec z Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego. Był to ciekawy, popularny w najlepszym tego słowa znaczeniu wykład o powstaniu złóż surowców, korzyściach jakie przynoszą lub mogą przynieść gospodarce narodowej z uwzględnieniem wspomnianych skutków negatywnych. Zagadnienie szkodliwego oddziaływania przemysłu, na przykładzie kombinatu siarkowego, omówił mgr Juliusz Jarocki z Wojewódzkiej Stacji Sanitarnej-Epidemiologicznej.

Rzeszowszczyzna już jest skarbcem Polski, a w przyszłości da jeszcze więcej bogactw skrytych dotychczas pod ziemią. Ich wydobywanie zmieni oblicze regionu, obok doniosłych skutków pozytywnych może zachwiać równowagę biologiczną, naruszy naturalne warunki bytowania człowieka, co już teraz przynosi często nieodwracalne następstwa.

W Rzeszowskiem występuje ropa naftowa, która — podaje to jako ciekawostkę — z jednego z nowych odwiertów samoczynnie wydostaje się na powierzchnię. Mamy olbrzymie zasoby gazu ziemnego, cennego surowca dla przemysłu chemicznego. Występują też bogate zasoby surowców dla przemysłu budowlanego i ceramicznego, w tym także liczne złoża gipsu o kilkudziesięciometrowej grubości; podobnych w Polsce dotychczas nie odkryto. Przed Rzeszowszczyzną otwierają się perspektywy dalszego rozwoju przemysłu szklarskiego, mogą powstać również zakłady produkujące wysokiej jakości cement. Występują wapienie, alabaster, syderyty, łupki bitumiczne, torf, piaski żelaziste i wiele, wiele innych bogactw. Eksploatowane będą wydmy piaszczyste; nadmienić warto, że na nich hitlerowcy wypróbowali czolgi przeznaczone do walk w Afryce.

Na Hście bogactw naturalnych ważną pozycję stanowią wielkie zasoby wód mineralnych, w tym także unikalne w Europie, co stwarza możliwości rozwoju uzdrowisk i miejscowości wypoczynkowych. Np. rejon sztucznych jezior w Bieszczadach może być jedynym w swoim rodzaju uzdrowiskiem czynnym cały rok: doskonały klimat, wody lecznicze, warunki do uprawiania turystyki, sportów wodnych i zimowych. Nie jest wykluczone, że polskie źródła wód lecz-

niczych, zwłaszcza w atrakcyjnych miejscowościach górskich, będą z powodzeniem konkurować z renomowanymi obecnie kurortami zagranicznymi... W Rzeszowskiem dowiercano się także gorącej solance, lecz jej eksploatacji nie podjęto. A np. w Budapeszcie jest kilka takich źródeł, prawdziwy skarb dla miasta; gorąca solanka leczy ludzi, ogrzewa mieszkania.

Zdzisław Kozioł

NARASTAJĄCY KONFLIKT

Wystąpiłem w różnych dziedzinach techniki, trzeba przy sporządzaniu planów perspektywicznych uwzględnić głos przedstawicieli innych dyscyplin nauki, w tym także biologii. Słowem, chodzi o kompleksowe podejście do przestrzennego, perspektywicznego zagospodarowania terenów dawnej puszczy, a zadanie to spoczywa głównie na kompetentnych organach w Rzeszowskiem, lecz wymaga także współpracy z sąsiednimi województwami. Warto dodać, że zagadnienie ochrony przyrody w sposób nowatorski ujęto w planach przestrzennego zagospodarowania regionów górskich, przygotowanych przez Wojewódzką Komisję Planowania Gospodarczego w Rzeszowie.

Puściłem wodze fantazji, wykorzystanie tych szans wymaga przede wszystkim olbrzymich nakładów inwestycyjnych. W południowo-wschodniej Polsce trwają dalsze, intensywne poszukiwania, m. in. geolodzy spodziewają się znaleźć złoża soli kamiennej i potasowej. Racjonalna eksploatacja minerałów, która nabiera coraz większego rozmachu, jest sprawą doniosłą z punktu widzenia gospodarczego, ale wymaga też nowych zadań w zakresie ochrony przyrody.

O przyszłości gospodarki narodowej w dużej mierze decyduje siarka, w której wydobywaniu Polska jest już potentatem światowym, a rozbudowa kopalni i zakładów przetwórczych pozycję tę umacnia. Siarka ma zastosowanie prawie w każdej dziedzinie przemysłu, przede wszystkim jest podstawowym surowcem dla chemii. Nie można jednak niedostrzegać ubocznych, negatywnych skutków eksploatacji tego bogactwa.

Siarkę tarnobrzescką, zalegającą na głębokości od kilkunastu do kilkudziesięciu metrów, wydobywa się metodą odkrywkową; miliony metrów sześciennych ziemi tworzą ol-

brzymie hałdy, które stale rosną tworząc krajobraz łąki księżycowej. Sporo kłopotów następcza również siarkowodór zawarty w wodach kopalnianych, wróg życia organicznego rzek. Odwadnianie kopalni wpłynęło na obniżenie lub nawet zanik wód gruntowych, co ujemnie wpływa na wydajność w rolnictwie, nie mówiąc już o innych skutkach. Zanieczyszczanie powietrza przez kombinat powoduje widoczne szkody w okolicznych lasach, szczególnie ucierniał drze-

wostan iglasty oraz brzozy. Jakiego gatunku drzew i roślin można w tych okolicach hodować? Pytań nasuwa się więcej.

Kompleks tych zagadnień był tematem wspomnianych prelekcji mgr inż. Bolesława Kawalca oraz mgr Juliusza Jarockiego, którzy złożoność problemów przedstawili aktywnie Ligi Ochrony Przyrody. Mgr Juliusz Jarocki, specjalista w zakresie sanitarii komunalnej, mówił głównie o zanieczyszczeniu powietrza atmosferycznego w rejonie Tarnobrzega. Był to wywód teoretyczny, bogato ilustrowany przykładami z wielu krajów; prelegent poinformował o wynikach badań, jeszcze nie kompleksowych, co nie pozwala na uogólniające oceny stopnia deformacji naturalnych warunków bytowania człowieka w zagłębiu siarkowym. Badania trwają, o wadze problemu świadczą chociażby uchwały, jakie w tej materii podjęto Prezydium WRN. Nadmienimy, że ochronę powietrza normuje ustawa sejmowa z 21 kwietnia br., lecz nie wydano jeszcze aktów wykonawczych.

Nie będę szczegółowo relacjonował wyników badań w zagłębiu siarkowym, bo wymagają one odrębnego potraktowania. Szkoda, że na wspomniane posiedzenie nie przybyli kompetentni przedstawiciele kombinatu siarkowego. Wprawdzie dyrekcja umożliwiła odbycie posiedzenia w zagłębiu, udostępniła aktywistom Ligi zwiędzenie kopalni i kombinatu, ale nie doszło do wymiany poglądów.

Aleksander Żyga

U SEWERÓW W BRACIEJOWEJ

Cechujący literaturę staropolską antyurbanizm zaznaczył się jeszcze bardzo silnie i w literaturze polskiej XIX wieku. Począwszy od pseudoklasyk poezji z Koźmianowskim „Ziemiaństwem” na czele przejawiał się on już to u czołowych komediopisarzy, już to u wielkich powieściopisarzy dziewiętnastowiecznych tak w praktyce literackiej, jak i w dążeniu do osiedlenia się i bytowania na wsi. Dla Fredry i dla Bliźnińskiego, dla Kraszewskiego i Korzeniowskiego, a nawet jeszcze dla Włodzimierza Perzyńskiego miasto, w przeciwstawieniu do wiejskiej idylli, było miejscem zepsucia moralnego i zgnilizny. Ideał staropolskiego literata ziemianina, wolnego od wielkomiejskich trosk i kłopotów materialnych, uśmiechał się niejednemu naszemu pisarzowi dzieła dziewiętnastowiecznemu, który pragnął za wszelką cenę znaleźć swą niezależność we własnym folwarku lub dzierżawie.

Tarnobrzescki okręg przemysłowy uchronił społeczne znaczenie ochrony przyrody. Dostrzegam konieczność publicznego dyskusowania tego problemu, informowania społeczeństwa o sytuacji, w której oddziaływanie przemysłu może być rzeczywiście niebezpieczne, o środkach ochrony człowieka i przyrody. Zachodzi przede wszystkim potrzeba intensyfikacji badań w tym zakresie.

Jest to problem znacznie szerszy — chodzi bowiem nie tylko o siarkę, ale w ogóle o przemysł w tym rejonie. Mam na myśli tereny całej Puszczy Sandomierskiej, w której zlokalizowano wiele przedsiębiorstw o zasadniczym dla gospodarki narodowej znaczeniu: Hutę „Stalowa Wola”, elektrownię pracującą na węglu kamiennym, liczne zakłady przemysłu metalowego i chemicznego. Dawna puszcza zamieniła się w przyszłości w las kominów. W tych warunkach ochrona środowiska biologicznego, stworzenie mieszkańcom możliwości rekreacyjnych jest sprawą o doniosłym znaczeniu.

Poza ekonomistami, czy specjalistami w różnych dziedzinach techniki, trzeba przy sporządzaniu planów perspektywicznych uwzględnić głos przedstawicieli innych dyscyplin nauki, w tym także biologii. Słowem, chodzi o kompleksowe podejście do przestrzennego, perspektywicznego zagospodarowania terenów dawnej puszczy, a zadanie to spoczywa głównie na kompetentnych organach w Rzeszowskiem, lecz wymaga także współpracy z sąsiednimi województwami. Warto dodać, że zagadnienie ochrony przyrody w sposób nowatorski ujęto w planach przestrzennego zagospodarowania regionów górskich, przygotowanych przez Wojewódzką Komisję Planowania Gospodarczego w Rzeszowie.

Pisząc o potrzebie dyskusowania o zagadnieniach ochrony przyrody, miałem na uwadze różnorodne nieporozumienia, a nawet przejawy ignorancji czy też strusiej polityki, mniemanie, że jeśli o jakimś zjawisku się nie mówi, to ono nie istnieje. Szkodliwe jest także samopuszokowanie przedstawiające się m. in. w stwierdzeniach, że gdzie indziej sytuacja jest znacznie gorsza. A przykładów jest wiele, można je dowolnie przytaczać i komentować w zależności od wysuniętej tezy. Wspomnę o niektórych z nich. Do Nowego Jorku przewieziono starogipską rzeźbę, która tysiącletnia przetrwała w afrykańskich piaskach; poważnie uszkodziła ją nowojorskie powietrze, przesycone wylęciami fabryk i spalarni samochodów.

Walka z zanieczyszczeniem powietrza urasta w wielu krajach do zadania o znaczeniu państwowym.

Typ literata-ziemianina w tych czasach modny był szczególnie w Galicji. Pomijając pomniejszych ziemian pisarzy i wierszokletońców galicyjskich, dzierżawami chodzili między innymi Wincenty Pol, Kornel Ujejski; własne folwarki posiadali: Józef Bliźniński w sanockiej Bóbrce i Władysław Koziębrodzki w Chłopicach pod Jarosławiem.

Do dość licznej grona owych ziemian-literatów zaliczyć by należało, przynajmniej w pewnym okresie życia, i Ignacego Maciejowskiego, posługującego się pseudonimem Sewer, znanego szerzej autora popularnych niegdys nowel z życia wiejskiego oraz wielkich powieści społeczno-obyczajowych, w których sięgając do nowych tematów, zrywał równocześnie z panującymi w tym gatunku literackim konwencjami.

Miejscowością, w której Sewer przez dziesięć lat prawie pędził żywot rolnika-literata, była Braciejowa, wieś położona na południe od Dębicy. W życiu wiejskim zasmakował już przez swe pochodzenie społeczne. Później jako mieszkaniec Krakowa znalazł się w Dołędze pod Tarnowem, gdzie ożenił się z panną Marią Güntherówną i otrzymał za nią niewielki posąg, zamieszkał. Aby go uniezależnić od teściowej, koledzy jego: Adam Asnyk i Pieniążek, dzierżawca Nagawczyński, wyszukali mu dzierżawę w Braciejowej, gdzie Sewer przeniósł się z żoną na wiosnę 1884 roku. „Miejscowość — pisze Adam Grzymala-Siedlecki o Braciejowej — wyjątkowo obskurna. Nagle pola, ani zadrzewienia, ani sadów, ani zajmującej linii krajobrazowej. Dwór-rudera z lichym obejściem, niczym od świata nieodgradzony, ani trochę nieswój, ani kwietnika, ani cienia — typowy poboczny folwark jakiego większego majątku”.

Na objęcie Braciejowej pragnął pisarz zaprosić swoich przyjaciół: „Dnia 25 bm. (VI 1884) — pisał do Asnyka — uroczyście w Braciejowej; jeśli nie będzieś w Zakopanem, przyjeżdżaj!!! Pokój Twój już urządzony.

Gospodaruję i orzę, orzę i gospodaruję (jeśli piszę — orzę, orzę) czyli pod wyrazem orka domyślasz się machania piórem po papierze”.

Gospodarowanie w Braciejowej zaczął Maciejowski z zadowoleniem, i ta bowiem obskurna miejscowość stanowiła dla niego pewną idyllę w stosunku do szarych murów miasta. Żył nadzieję, że dzierżawa przyniesie mu niemałe zyski, zwłaszcza gdy w pracy pomagać mu będzie obeznana nieco z rolnictwem żona, a wolne chwile od gospodarki poświęci literaturze. Tak było w istocie w pierwszych miesiącach do wiosny 1885 roku; „Gdy interes me pomyślnie ułoży, gdy roku tego będę miał średnie zbiory (pierwsze w Braciejowej), prace moje będą umyślnie drukował w pismach warszawskich, mało znanych w Galicji, aby je później dawać bez pretensji do przedruku w „Reformie” — pisał 7 lutego 1885 roku do redaktora wyżej wymienionego dziennika, a zarazem swego serdecznego przyjaciela, Mieczysława Pawlikowskiego w Krakowie, korespondencja z którym stanowi do dziś dnia nieocenione źródło do genezy powstałych w poddębickiej dzierżawie nowel i powieści Sewera. Niezłe samopoczucie pisarza mimo trudności finansowych w związku z zagospodarowywaniem się sprzyjały też pracy literackiej. W Braciejowej Sewer pisał więcej i lepiej niż kiedykolwiek dotychczas. „Wróciłem, piszę dalej nowele, jestem w dobrym humorze — donosił swemu korespondentowi 22 marca tegoż roku — Maciejowska zdrowa, zaczyna wstawać, powietrze świeże, pogody, pszenica podnosi gło-

DOKONCZENIE

1

wę...". Mieszkańcy Braciejowej od razu wciągnęli pisarza do miejscowych prac: jako delegatowi drogowemu kazano mu „robić drogę w koło góry, aby paniom dobrze było przejechać”.

Pogodny ów nastrój pierwszych miesięcy pobytu Maciejowskiego w Braciejowej, uzyskany niegdyś przez niego w młodości dyplom szkoły rolniczej w warszawskim Marymoncie, pomoc znającej się jako tako na gospodarce żony, która pomagała mu także i w pracy literackiej — wszystko to w kazywałyby, że gospodarca pójdzie niezłe, a równocześnie zyska na tym literatura. Praktyka pisarza na polu rolnictwa pokazała jednak odwrotną stronę jego umiejętności. Już w okresie pierwszych zasiewów wiosennych zaczęły się kłopoty: musiał Sewer zaciągnąć pożyczkę u Pawlikowskiego; w późniejszych latach pożyczki te stały się nagminne.

Listy Sewera do Pawlikowskiego obok źródła do gospodarczych kłopotów pisarza i niedoświadczonego dzierżawcy stanowią, jak już wspomniano, doskonały materiał do genezy wielu jego noweli i powieści, które niejedno zawdzięczały obserwacjom braciejowskim. Odsłaniają one niejedną sekret pisarskiego warsztatu autora „Biedroniów”. Widać z nich, że Maciejowski pisał wiele, obsesyjnie cierpiąc na brak pomysłów literackich, które stale nazywał „bajkami” lub „ideami”, rozumiejąc pod nimi fabule czy zasadniczy szkielet akcji. Na usilne i ciągle prośby poddawał mu je, podobnie zresztą jak tytuły do utworów, jego żona, Pawlikowska lub Asnyk. Pierwszy dostarczył mu pomysły do „Euthanazji”, drugi do noweli „Za kulisami”.

Jednym z pierwszych utworów Sewera, które powstały w Braciejowej, była napisana już w 1885 roku nowela „Wśród walki”, drukowana w warszawskim „Wieku”; za nią poszły: „Na szerokim świecie” i inne. Na pierwsze miejsce w produkcji literackiej Sewera w tym czasie wysuwają się nowele o tematyce ludowej, do których realia czerpał z obserwacji typów ludowych Braciejowej i najbliższej okolicy. Z owych nowel wymienić należy przede wszystkim „Dla świętej ziemi”, w której zobrazował powieściopisarz nieprawdopodobnie wprost przywiązanie chłopów do ziemi, nie mogąc znaleźć dla niej utworu odpowiedniego tytułu, tak wyrażał się o niej: „...lud jest w niej prawdziwy, rzetelny, taki, jakim jest. Bez sentymentalizmu i przesady w jednym (idealnym lub drugim) (pesymistycznym) kierunku. Niezawodnie tak do serca mówi, myśli i czuje, jak jest opisany. Czy nie zwróciłeś uwagi, iż lud nasz ma głęboko w sobie zakorzeniony kult do „Świętej ziemi” (6 XI 1886). Innym razem dodawał: „Maria pierwszy raz przepisując rzecz ludową, nie płacze, czytam w jej oczach zadowolenie i dumę, nawet dumę...” Kartka z życia ludu żywcem wyrwana, bez wszelkich dramatów i tragiczności, gdyż nasz lud nie jest nieszczęśliwy i również zły nie jest (...)

Ciekawe były akcesoria i perypetie innych nowel powstałych w Braciejowej: „Magdusi” i „Ścieżki przed chatą”. W pierwszej z nich, którą Pawlikowski miał drukować w „Reformie”, musiał autor zmienić na prośbę braciejowskiej Magdusi, która posłużyła za prototyp do tej postaci, nazwisko bohaterki; inne osoby, które stanowiły prototypy postaci, były dumne i chlubiły się tym, że zostały „wydrukowane”. Na przykład wzorem rozczarowanego pańca, wystrychniętego na dudka przez większą dziewczynę, w „Zalotnicy”, był Adam Asnyk.

Odmienne były konsekwencje „Ścieżki przed chatą”, o czym donosił Pawlikowskiemu (6 XII 1888): „W Braciejowej zastąpił gościa, miłego gościa (...). Otóż jeden z czytelników poznał Antkowi (bohaterowi utworu) i przyszedł prosić mnie, abym mu wskazał, gdzie jest robota. „Mógł Antek, moge i ja” — oświadczył mi z wiarą we własne siły (...). Zgonił cztery mile drogi, aby się dostać do Braciejowej. No, iże na końcu książki napisana była Braciejowa, zawiał się i póty szedł, aż zaszedł (...). Prosił mnie, abym mu wskazał, gdzie mieszka Antek. Chciał wstąpić, choćby była mila drogi. Ugościłem pocziwca, nakarmiłem i poszedłem poszukać robo-

ty. Wypadek ten godzien druku, godzien, aby dać w nim znać ludziom dobrej woli”.

Nowele: „Magdusia” i „Do Ameryki” stanowią podobno odwiercienie dziełow mieszkańców Braciejowej. Zdaniem Sewera ta ostatnia jest to „opowiadanie wierne chłopu, który z pieniędzmi wrócił z Ameryki. Chłop wciąż gada (...) Historia najprawdziwsza od A do Z”.

Z ważniejszych utworów Sewera, które swoje powstanie zawdzięczają Braciejowej, obok „Wiosny”, skonfiskowanego „Pamiętnika Macjusia” i „Do słońca” nie można pominąć sfilmowanej niedawno powieści, której przedmiotem jest dola i losy aktorów prowincjonalnych w Galicji Chodzi tu mianowicie o książkę pt. „U progu sztuki”. „Aby to życie lepiej poznać i tę dolę lepiej poznać — opowiadał się 29 VI 1886 roku Pawlikowski — wybieram się na parę dni do Rzeszowa podczas pobytu trupy prowincjonalnej”. Zbierając do tej powieści

U SEWERÓW W BRACIEJOWEJ

materiały jeździł nawet do Brzostka pod Pilznem: „Obecnie jest w Brzostku trupa złożona z 8 osób personalnie, grają dramata i komedie. Lepsza i liczniejsza zawita do Rzeszowa w lipcu” — dodawał 2 VII tego roku.

Najwięcej jednak obiecywał sobie Sewer po wielkiej powieści społecznej, którą z góry przeznaczal do „Kurieru Warszawskiego”, a mianowicie po „Nafcie” (1894). Przygotowywał się do jej pisania i gromadził materiały dość długo, bo około dwóch lat. Zwiędził w tym celu prawie wszystkie zagłębia naftowe w Galicji. „Od tygodnia bawię w Gorlicach — pisał 26 XI 1890 r. do redaktora „Kurieru Warszawskiego”, Franciszka Olszewskiego — jutro jadę do Krośnice. Ogólnie mówiąc — przyjemnie. Praca wielka, wytrwałość, oszczędność, cierpliwość — cnoty dotąd nie znane u nas. Cywilizacja (...) Nafta wprowadziła Galicję do Europy (...) Lud dzielny, podnosi się. Amerykanie mówią, że to najdzielniejszy robotnik. Jeżeli talent dopisze, powinna to być rzecz ciekawa, pocieszająca, przyjemna, dramatyczna, dzielna i cywilizacyjna”. W grudniu zaś: „Wróciłem z „Nafty”. Byłem w Gorlicach, Jasle, Krośnie (...) Nie miałem pojęcia, aby się znalazło tyle materiału co do rzeczy, faktów, ludzi. Ludzie od pierwszego do ostatniego wykolejenia. Tylko wykolejenia biorą się od nafty (do szukania i kopania), a co za ludzie, a co za typy, a jakieś awantury, romanse, pojedynki, dramaty, tragedie (...) W podobnym celu odwiedził także w grudniu 1891 roku i Edmunda Łozińskiego w Potoku pod Krosnem.

„Naftę” skończył Sewer 18 lutego 1893 roku. Dedykował ją „Plotrowi Chmielowskiemu w dowód serdecznej sympatii, a na pamiątkę paru dni spędzonych razem w Braciejowej”. Odwiedziny te miały miejsce w czerwcu 1890 roku, kiedy znakomity krytyk i historyk literatury wraz z Władysławem Prokieszem znalazł się w Galicji podczas swojej wycieczki w Beskidy.

Sam autor zdawał sobie sprawę z nowatorstwa tematycznego i artystycznego „Nafty”. „Nafta” — pisał — to powieść społeczna o szerokim zakresie a nie romans na dawną modłę, który nie mógł się obejść bez pary i bez bohatera i bohaterki. Tu bohaterka niepotrzebna, a raczej jest ich kilka”.

Krytyka przyjęła „Naftę” z aplauzem. Zachwycali się powieścią, ocenili ją wysoko tacy wytrawni krytycy jak Wilhelm Feldman i Piotr Chmielowski tak pod względem problematyki, jak i formy. Zgodnie podkreślali, że dał w niej autor epicki obraz ówczesnej gorączki naftowej w zagłębiu gorlicko-krośnickim; przedstawił zmagania się i nadzieje owych poszukiwaczy ro-

py i gezeftciarzy, ich kręactwa i spekulacje, konflikty poiskich nafciarzy z kanadyjskimi bankierami i wiedeńskimi finansistami. Motorem tych wszystkich poczynań bohaterów powieściowych Sewera, który w spokojnych dotychczas miejscowościach podgórskich wywołał prawdziwą rewolucję społeczno-obyczajową, stała się nafta, właściwy bohater książki. A obok krachów finansowych i wynikających z nich tragedii ludzkich potrafił także Sewer dostrzec i pozytywne skutki rozwoju przemysłu naftowego: wtargnięcie cywilizacji w te dzikie strony, podniesienie się stopy życiowej tutejszej ludności i w wyniku otworzenia się nieznanymi możliwościami zarobku i wzrost oświaty. W ogóle „Nafta”, w której fabule, czy — jak to Sewer zwykł nazywać — „bajce”, przy szczegółowych badaniach dałoby się odnaleźć wiele elementów i zdarzeń autentycznych, to oprócz powieściowego dokumentu gorączki naftowej w Galicji także dokument technologii ówczesnego przemysłu naftowego, który aczkolwiek bliski naturalistycznej technice powieści, o wiele przewyższa modne u nas niedawno tzw. powieści produkcyjne.

Swoją epopeę naftową, w której autor „Biedroniów” jedyny poza małymi obrazkami Wilczyńskiego, Zachariasiewicza, Szczęsnego, Morawskiego, Rogosza i Niedźwiedzkiego, nie licząc ukraińskiego pisarza Iwana Franki, sięgnął do tego egzotycznego tematu, zaprzagnął przy pomocy Tadeusza Michalskiego zrobić na dramat, w którym lud i nafta miały odgrywać rolę najważniejszą.

Dorywcze zarobki z literatury w postaci honorariów, których bardzo dokładny rejestr daje Sewer w korespondencji z Pawlikowskim, nie mogły jednak na dłuższy dystans uratować niedoświadczonego dzierżawcy Braciejowej przed krachem finansowym. Mimo względnego powodzenia w pisarstwie ciągle niedobory zmuszały pisarza do ustawicznego zaciągania pożyczek, których nie zawsze był on w stanie spłacić nawet po sprzedaży w jesieni całej produkcji zbożowej, odstawianej do Dębicy, a nawet do Krakowa. Nie ratowały tej sytuacji i honoraria literackie, którymi Sewer usiłował podreperować swoje gospodarstwo. Trudności te zresztą zaznaczyły się już w roku 1885, kiedy dziękując Pawlikowskiemu za jedną z pierwszych pożyczek, pisał: „Nieraz sobie powtarzam, że gdyby nie garstka przyjaciół, którzy podali rękę, już bym dotąd skutkiem powikłań interesów musiał wyjść z Braciejowej”. (17 IV 1885). W roku 1889 zostawiając swemu przyjacielowi swe zarobki literackie, dodawał: „Być może, że ja zbyt powoli pracuję i tworzę? Nie moja wina, lecz braku pracowitości nikt mi nie zarzuci. W rodzinie mej żony, w okolicy i w opinii przyjaciół słynę za bardzo pracowitego męża. Braciejowa nie daje dochodów, pomimo włożonego kapitału. Zaledwie mi wypada darmo mieszkanie, trochę mleka i drobiu, to wszystko. A zatem nie stać mnie na ofiary i nie wolno mi ich robić wobec mnie samego, żony i przyjaciół, biednych tak jak ja, którzy podpisali mi wesele”. Pierwszy projekt opuszczenia Braciejowej snuł pisarz w 1889 roku: „Stanowczo opuszczam Braciejową i żadnej innej dzierżawy nie biorę, nie mam na to środków. Osiadam w Podgórzu i pracuję, piszę i z dochodów żyję. Gospodarstwo zmęczyło mnie i podrażniło. Dostę, dosyć, dosyć”. (2 IV 1889).

W miarę powstawania dojrzałych artystycznie utworów literackich gospodarca w Braciejowej kulała coraz bardziej, sytuacja finansowa pisarza stawała się coraz bardziej katastrofalna. Walkę z tymi piętrzącymi się trudnościami Maciejowski przegrał. Niedoświadczony „rolnik” wrócił w 1893 roku do Krakowa, gdzie na ulicy Batorego wynajął kilkupokojowe mieszkanie, od czasu do czasu, odwiedzając Dołęgę, majątek swej teściowej pod Tarnowem.

Dziś przy lekturze ludowych nowel Sewera nie pamięta się zazwyczaj, że powstały one w poddębickiej wiosce i weszło do nich wiele elementów życia mieszkańców Braciejowej, podobnie jak liczne studia nad wydobyciem ropy naftowej stały u podstaw „Nafty”, nie mówiąc już o miejscowych realiach innych jego utworów.

Narastający konflikt

(Dokończenie ze str. 1)

bo — oprócz strat materialnych, — z tego powodu w niejednym mieście przemysłowym, np. w Londynie, śmierć zbiera obfite żniwo. W NRF wydano nawet akty prawne nakazujące używanie wyższych jakościowo gatunków węgla, jeżeli zanieczyszczenie powietrza przekracza dopuszczalne normy, względnie przerwanie produkcji w wypadku nadmiernego zapylenia.

Tego rodzaju przykłady obrazują pewną tendencję we współczesnym świecie, ilustrują niepożądane następstwa industrializacji i urbanizacji. Nie wyjaśniają one w zasadzie niczego wówczas, gdy interesują nas konkretne sprawy, w konkretnych środowiskach. Potrzebna jest znajomość rozmiaru zagrożenia, by przeciwdziałać szkodliwym skutkom. Ale skoro już dokonujemy porównań z innymi krajami, to podam jeszcze, że częstotliwość wypadków w polskim hutnictwie jest 3-krotnie mniejsza niż w zachodnio-niemieckim. Widoczny to rezultat dostrzeżenia niebezpieczeństwa, w którego zwalczanie zaangażowano praktyków i uczonych, w tym także przedstawicieli nauk społecznych: socjologii i psychologii pracy.

Godną odnotowania jest wypowiedź znanego uczonego, prof. Włodzimierza Michajłowa, który pisze: „W krajach socjalistycznych, gdzie dobro człowieka postawione jest na pierwszym planie, gdzie środki produkcji skupiają się w ręku państwa i są planowo wykorzystywane (...) racjonalnie prowadzona ochrona przyrody ma znacznie więcej szans urzeczywistnienia niż w krajach kapitalistycznych. W krajach socjalistycznych specjalności w zakresie ochrony przyrody mają do pokonania jedynie ignorancję i konserwatywizm pewnych ludzi, gdy natomiast w krajach kapitalistycznych przeciwdziałają się im nadto interesy potężnych grup i organizacji czerpiących doraźne zyski z rabunkowej gospodarki skarbnami przyrody”.

Problemy te pochłaniają uwagę wielu polskich uczonych, którzy podnoszą głos ostrzeżenia, oraz pracują nad znalezieniem środków zapobiegających negatywnym skutkom, jakie przynosi rozwój wielu gałęzi przemysłu, bez których Polska nie może egzystować. Rozwiązanie niejednego problemu zależy po prostu od ludzi, którzy nieraz nie przypuszczają jakie szkody powodują swymi decyzjami czy poczynaniami. Ignorancją jest rzeczywiste groźnym wrogiem, a widzimy to chociażby na przykładzie zanieczyszczenia wód, co jest jednym z ważniejszych problemów ochrony przyrody.

Konieczność budowy oczyszczalni ścieków jest sprawą tak oczywistą, że tematu tego nie potrzeba rozwijać. A jednak ścieki nadal zatrawa-

ją wody, zanieczyszczanie zaś dopływów Wisły jest szczególnie groźne... W zasadzie technika dysponuje już możliwościami ochrony, np. Londyn pije własne ścieki, oczywiście uprzednio oczyszczone. Dla Rzeszowszczyzny dodatkowo ważnym problemem jest przeciwdziałanie erozji gleb i erozji osuwiskowej. Straty z tego powodu są olbrzymie. Wystarczy tylko podać, że górskie rzeki niosą tysiące ton gleby, osuwiska niszczą ziemię uprawną, drogi, budowle. Jednym ze środków przeciwdziałania erozji jest zalesianie górskich stoków, ale katastrofy, bo takie są skutki osuwisk, wynikają niekiedy z błędów człowieka, który w nieodpowiednich miejscach lokalizował budowle, bądź nie zabezpieczył odpowiednio terenu. Przejawem krótkowzroczności jest również bezplanowa eksploatacja żwiru i piasku z rzek; obniżanie dna powoduje zanikanie wód gruntowych, co ujemnie odbija się na płonach.

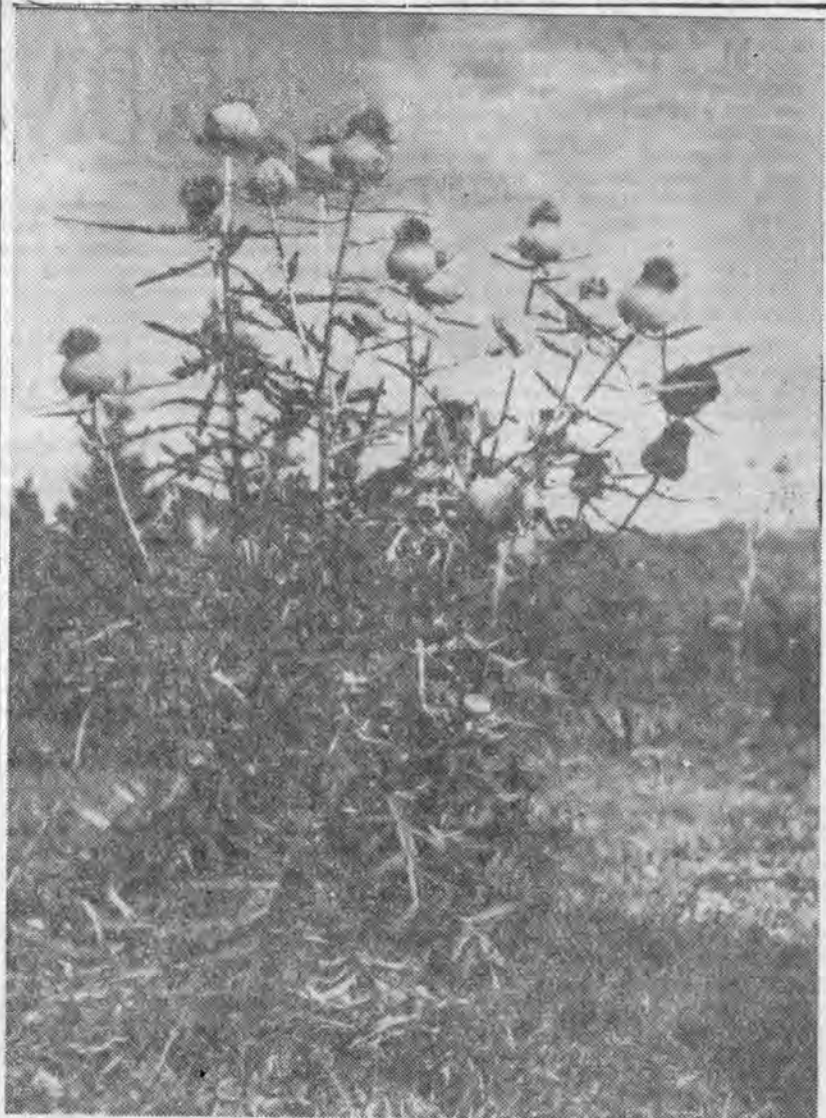
O sprawach tych wspominałem tylko tytułem przykładu obrazującego znaczenie ochrony przyrody, racjonalnego gospodarowania jej zasobami. Podkreślałem aspekty ekonomiczne chociaż ważne są również względy estetyczne czy wychowawcze. Te drugie w zasadzie dominują w działalności Ligi Ochrony Przyrody, która w Rzeszowskiem opiera się głównie o nauczycieli biologii, a także pracowników leśnictwa; Lidze pomaga również PTTK, PZL czy PZW.

Intencją Zarządu Okręgu LOP jest pozyskanie przedstawicieli organizacji technicznych, bo zasadniczy konflikt między przyrodą, a człowiekiem rozgrywa się właśnie w sferze gospodarczej. Upraszczając, można stwierdzić, że techników i ekonomistów interesują bieżące zadania wyznaczone planami produkcyjnymi, natomiast humaniści stoją bezradni wobec postępów techniki. Humanizacja techników i upowszechnienie kultury technicznej wśród humanistów jest chyba ważnym czynnikiem przewyższenia wspomnianego konfliktu.

Jaką drogą można ten program realizować? Oddzielny to temat; wspomnę tylko, że LOP stara się — jak to się zwykło mówić — wejść na teren szkół zawodowych i wyższych uczelni; jak wykazują doświadczenia, młodzież pasjonuje się problematyką przyrodniczą. Ale chodzi także o pozyskanie dla idei ochrony przyrody już obecnie pracujących kadry technicznej, by przewyższyć narastający konflikt między przyrodą a człowiekiem.

ZDZISŁAW KOZIOL

* „Ochrona przyrody i jej zasoby”. Praca zbiorowa pod redakcją Władysława Szafera, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, T. 1, str. 30.



FOT. ST. PRAZUCH

Stanisław Gębała

POTRZEBA SPOŁECZNEJ KONTROLI

Artykuł Stanisława Gębały porusza bardzo istotne i ważne problemy z środowiska studenckiego. Można się jednak nie zgodzić z pewnymi sugestiami autora, dlatego traktujemy je jako dyskusyjne. Sądzymy, że artykuł zainteresuje i sprowokuje do wypowiedzi tak wykładowców, jak i studentów.

Napisałem ten tytuł i zaraz poczułem drugą nieodpartą potrzebę — wyjaśnienia o co chodzi. Przyznam się, że z największą irytacją czytam sążniste artykuły, w których mniej więcej do połowy ciągle jeszcze nie wiadomo, o co idzie. A rzecz zwykle zaczyna się właśnie od zbyt ambitnego tytułu.

Tych kilka uwag i refleksji, którymi pragnąłbym się z czytelnikami podzielić, nasunęło mi się w czasie uroczystej inauguracji roku akademickiego na WSP. Każda inauguracja, jak wszystkim zapewne wiadomo, jest okazją do podsumowań, snucia projektów, rozważania perspektyw. Padają gęsto liczby, suche liczby, które pobudzają autentyczne wzruszenia i śmiałe nadzieje. Padają także słowa. Niekiedy zastanawiające.

Gdy na zakończenie części oficjalnej zabrał głos przedstawiciel młodzieży studenckiej, słuchacze byli już lekko zmęczeni i — obawiam się — nie wysłuchali przemówienia z należytą uwagą. Szkoda, bo niektórym przynajmniej fragmentem tego wystąpienia należała się szczególna uwaga. Nie dlatego zresztą, by zawierało jakieś rewelacje. Wręcz przeciwnie, często padały w nim stwierdzenia zupełnie oczywiste, z którymi nie sposób polemizować. Więc o co chodzi? Właśnie o tę zbyt wczesną chyba uznaną — oczywistość.

Jedno z owych oczywistych stwierdzeń brzmiało następująco: Idąc na studia na kilka lat wyymkamy się spod społecznej kontroli. Ostatnią opinię wystawiono nam wraz ze świadectwem dojrzałości, następną otrzymamy dopiero w szkole, jako naszym przyszłym zakladzie pracy.

Zaskoczył mnie w tym momencie mój własny odruch sprzeciwu. Przecież to prawda, to oczywiste, powtarzałem sobie. A jednak nie mogłem się zgodzić z tym tak zaskakującym prostym stwierdzeniem. Nie można powiedzieć społeczeństwu: No, to cześć. Na razie przyskam. Zobaczymy się za pięć (sześć) lat. Z drugiej strony samo społeczeństwo wydaje się taki stan rzeczy akceptować.

Cytowane wyżej zdanie nasunęło mi podejrzenie, że zawiera ono nie tylko proste stwierdzenie faktu, ale także i określenie celu. Nieraz zadawałem sobie pytanie, jak szeroki margines znaczeniowy ma banalne stwierdzenie: młodzież garnie się do nauki. Bliższa prawdy byłaby chyba inna wersja tego samego banału — młodzież pragnie studiować. Nie mam najmniejszego zamiaru kwestionować autentyczności tego „pragnienia”, natomiast odczuwam wyraźną pokusę sprawdzenia, co oznacza dziś, pojęcie „studia”. Wydaje mi się, że znaczenie jego uległo daleko idącemu rozszerzeniu. W rzeczywistości oznacza ono pewien określony model życia. Jedną z największych atrakcji tego modelu jest owo „wymknięcie się”. Studia to rodzaj azylu (Ponieważ wkraczam na teren dość niebezpieczny, pragnę w tym miejscu odznaczyć się najuroczyściej od wszelkiego generalizowania. Mówię tu — zrobiłem już zresztą wcześniej to zastrzeżenie — o marginesach). Posiada on dwie szczególnie cenne właściwości: wygodna, nie ograniczająca swobody izolację oraz pewien specjalny rodzaj hermetyczności (nazwijmy to hermetycznością „od zewnątrz”), polegająca na tym, że osoby korzystające z azylu mogą wychodzić poza jego teren, natomiast żadnemu intruzowi z zewnątrz nie uda się przedostać w odwrotnym kierunku. Trudno wyobrazić sobie bardziej dogodną formę azylu.

Ale trochę abstrakcji. Żeby nie narazić się na zarzut, iż zajmuję się urojonymi problemami, podam przykład konkretny. Ileż to razy o decyzji wstąpienia na studia przesądza obawa przed obowiązkami służby wojskowej? W takich wypadkach kwestia wyboru określonego kierunku studiów z całą pewnością nie należy do najtrudniejszych. Ile razy o tej jednej z najważniejszych decyzji życiowych przesądzały względy snobistyczne, niekiedy zupełnie śmieszne?

Wyobraź sobie, ta idiotka dostała się na historię sztuki. Za nie pójdę na ten kierunek. Jeżeli tam tacy studiują? Wybiorę się chyba na architekturę wnetrz.

Tak, wiem. Pozostaje jeszcze kwestia dostania się na taki czy inny kierunek. Ale to udaje się jednak dość często.

Ten drugi przypadek można traktować humorystycznie. Gorzej, gdy wstąpienie na studia jest przemyślaną próbą „wymknięcia się” spod społecznej kontroli, uchylenia się na czas bliżej nieokreślony od społecznych obowiązków, słowem, gdy wybiera się studia jako pewien wygodniejszy model życia, jako formę kilkuletniego azylu. To nie jest problem urojony.

Wspomniałem przed chwilą, że to nowe, rozszerzone pojęcie studiów zostało zaakceptowane przez opinię publiczną. Czy nie jest to zgoda wymuszona — to już zupełnie inna sprawa. Przypominam sobie pewną dość zabawną przygodę, która spotkała mnie jeszcze w zamierzchłych czasach, kiedy rozpoczynałem studia w Warszawie. Był to rok 1958, rzeczywiście, dawne dzieje. Spieszyłem się do Teatru Współczesnego na Mokotowską i przesiadłem po którejś cięciwie idealnie okrągły plac Zbawiciela. Byłem akurat w połowie drogi, gdy usłyszałem za sobą:

— Halo wróćcie się. — Obejrzałem się. No, tak. Milicjant.

— Chodźcie no tu. — Uznał za konieczną powtórną zachętę, trafnie przewidując moje zamiary. Wróciłem.

— Proszę dowód osobisty. — Wyjaśniłem mu, że nie mam przy sobie dowodu i podałem legitymację. Nie ukrywał radosnej satysfakcji:

— To wy jesteście student. Student. — Powtórzył wypuszczając cały zapas powietrza z płuc. — Wam studentom wszystko wolno. — To miała być złośliwość, ale stwierdzenie wypadło dziwnie serio. Nie wiem nawet, czy sam zdawał sobie z tego sprawę.

— Zapłacicie zniżkowy, na legitymację studencką. Pięć złotych. — Odetchnąłem, gdy wyrok zapadł. Tak, wtedy jeszcze można było żyć. Pał diabli pięć złotych, ale spóźniłem się na spektakl. Byłem tak wściekły, że zapomniałem nawet o usłyszanym rewelacji. Gdy ochłoniąłem jednak, przyszedł moment refleksji. To był głos przedstawiciela opinii publicznej. Miałem tylko pecha, że akurat napatoczyłem się na przedstawiciela opinii publicznej w mundurze.

Skąd się bierze ta opinia ludzi z zewnątrz o środowisku studenckim? Można po prostu wzruszyć ramionami i powiedzieć — bzdura. Życie środowiska studenckiego — jak zresztą każdego środowiska czy grupy zawodowej — ma swoją specyfikę. Problem izolacji i hermetyczności tego środowiska także może się wydać przesadzony, jeżeli nie w ogóle wymyślony. Ostatecznie — powie ktoś — w krajach zachodnich istnieją wydzielone dzielnice, miasteczka uniwersyteckie, które zamieszkuje tylko student i nikt nie mówi o izolacji. „Może los rzucił nas do Meksyku”, śpiewało się w starej szmirawatej piosence. Może. Ale nic nie wydaje się na to wskazywać. Na razie jesteśmy w Rzeszowie i dlatego inte-

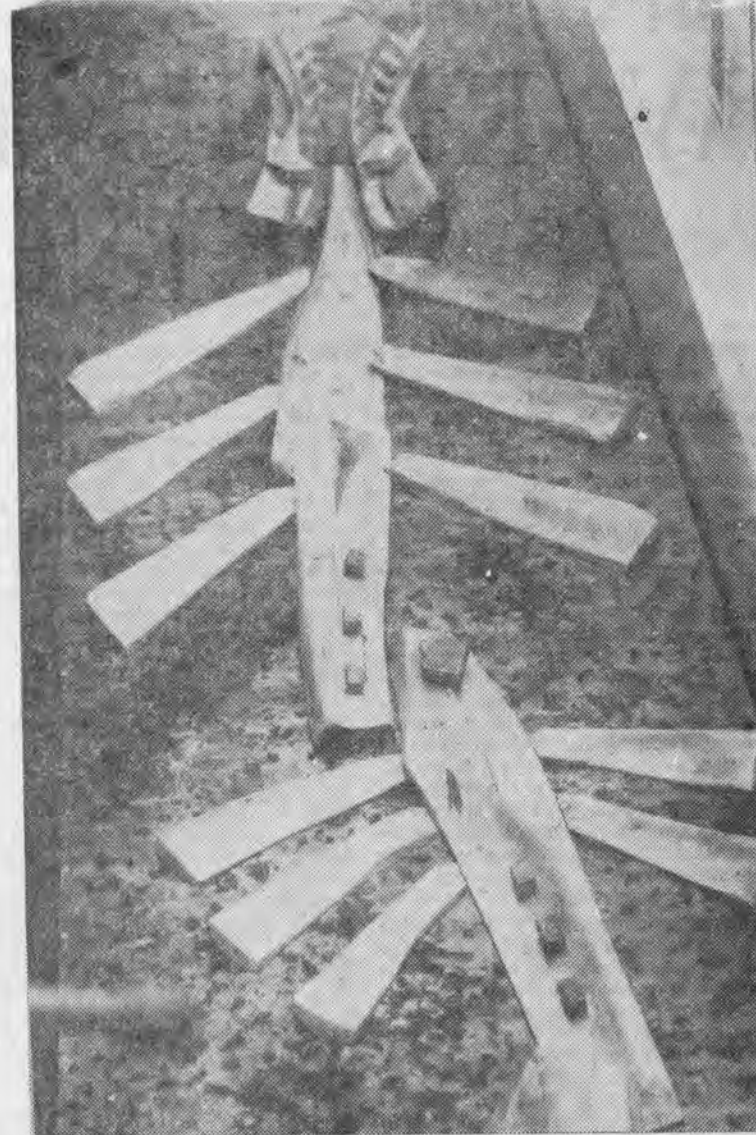
resują mnie wyłącznie sprawy naszego podwórka. A są to sprawy naprawdę interesujące.

Wróćmy do inauguracyjnego przemówienia, które sprowokowało mnie do wypowiedzenia tych kilku uwag. Podkreślono w nim, iż miejscowe środowisko studenckie nie ma jeszcze tradycji. To także stwierdzenie, którego oczywistość nie może budzić wątpliwości. To po prostu fakt. Zastanówmy się czy to dobrze, czy źle, choć takie pytanie może się wydać niezbyt sensowne. Tam, gdzie tradycje są z dawien dawna zakorzenione, zakorzenione jest także przekonanie, że studenci to odrębna społeczność, środowisko — nie zawaham się powtórzyć po raz któryś z kolei — i z o l o w a n e. Wydaje mi się, że w naszym mieście, gdzie tradycje życia studenckiego dopiero powstają na naszych oczach, należy zrobić wszystko, by nie dopuścić do wyrobienia się w opinii publicznej takiego przekonania. Czy to w ogóle jest możliwe? Czy można wpływać, nadając kierunek kształtującym się tradycjom? Na pewno tak. To moje wyznanie wiary.

W naszym mieście powstały dwie wyższe uczelnie, a zarazem dwa ośrodki życia studenckiego, Wyższa Szkoła Pedagogiczna i Wyższa Szkoła Inżynierska. Obie mają za zadanie przygotować studentów do zawodu, do pracy z ludźmi, a nie do laboratorium naukowego. Byłoby niepowetowaną szkoda, gdyby stały się one azylem, oazą świętego spokoju od społecznych obowiązków. Wydaje mi się, że właściwe przygotowanie nauczyciela-wychowawcy-społecznika (proszę mi darować ten graficzny dziwoląg) czy inżyniera produkcji (gdzieś przeczytałem, że tak się to nazywa) możliwe jest wyłącznie poprzez codzienny kontakt z szeroko pojętym środowiskiem, przy czym muszę się od razu zastrzec, że przez kontakt rozumiem coś więcej niż przepychanie się łokciami przez to środowisko w autobusie, w drodze na zajęcia. Jeżeli proces przygotowania do zawodu będzie się odbywał wyłącznie w warsztatach, pracowniach czy audytoriach, ta sama opinia publiczna, która dziś godzi się milcząco na izolację środowiska studenckiego, jutro zakwestionuje przydatność społeczną absolwentów.

Zaczął się nowy rok akademicki. Każdy upijający dzień będzie wnosił coś nowego do kształtujących się dopiero w naszym mieście tradycji studenckich i do kształtującej się opinii społecznej o nowym środowisku. Niezauważalnie, z dnia na dzień będzie również postępował proces zaciekawiania więzi środowiska studenckiego z otoczeniem, bądź też odwrotnie, proces pogłębiania się izolacji tego środowiska.

Przemówienie inauguracyjne, do którego uparcie wracam, zawierało stwierdzenia faktów oczywistych, ale — na szczęście — oczywistych dla środowisk studenckich innych miast, właśnie tych, które mają już z dawien dawna zakorzenione tradycje. Jeżeli owo zdanie o „wymknięciu się” stanie się stwierdzeniem faktu oczywistego i w naszym środowisku, będzie to oznaczało, że „wymknęła się” nam wielka szansa.



Rzeźby Józefa Zathęya — rzeszowskiego artysty plastyka zdobią statek „Rzeszów”.

FOT. R. BILSKI

Laureaci konkursu o nagrodę im. J. Czechowicza

W dniu 10 X br. nastąpiło rozstrzygnięcie I Konkursu Literackiego o nagrodę im. Józefa Czechowicza w Lublinie. Organizatorami Konkursu byli: Wydział Kultury Prezydium MRN w Lublinie, Wydawnictwo Lubelskie i Lubelski Klub Literacki działający przy Oddziale Związku Literatów Polskich w Lublinie. Konkurs ogłoszono dla 4 województw: lubelskiego, rzeszowskiego, kieleckiego i biłostockiego. Wzbudził on duże zainteresowanie, gdyż do sekretariatu konkursu wpłynęło 180 prac łącznie z zakresu prozy i poezji. Do oceny zakwalifikowano 47 utworów prozatorskich i 95 poetyckich — 38 prac usunęto ze względu na formalną niezgodność z wymaganiami regulaminu.

Jury konkursu, w składzie: Waldemar Babinicz przewodniczący, Jerzy Pleśniarowicz, Zbigniew Jakubik, Zygmunt Mikulski, Zdzisław Jastrzębski, Mieczysław Białas, dokonało oceny zgłoszonych na konkurs prac i przyznało następujące nagrody i wyróżnienia:

W dziedzinie prozy I nagrodę uzyskał Tadeusz Czajka — godło „Ta-

deusz” — Lublin, II nagrodę — Henryk Pająk — godło „Albert” — Lublin, III nagrodę — Zbigniew Kupier — godło „Oficer” — Chełm Lubelski.

Wyróżnienia uzyskali: Zbigniew Stepek — godło „Mak” — Lublin, Zbigniew Strzałkowski — godło „Salamandra” — Lublin, Wiesław Sadowski — godło „Korowód” — Niedźwica Kościelna.

W dziedzinie poezji nagrody otrzymali: I nagroda — Zbigniew Strzałkowski — godło „Quadrato 88” — Lublin, II nagroda — Wiesław Kossela — godło „Otryt” — Tarnobrzeg, III nagroda — Henryk Jachimowski — godło „Piasek” — Sędziszów Kielecki. Przyznał również w tym dziale trzy równorzędne wyróżnienia: Marii Józefackiej — godło „Elsynor 66” — Lublin, Marii Kanieckiej — godło „Oset” — Lublin i Wiesławowi Kawaneckiemu — godło „Nutaż” — Białystok.

Wręczenie nagród laureatom konkursu odbędzie się w dniach 11—12 X br., czyli w czasie Ogólnopolskiego Zjazdu Młodych Pisarzy w Lublinie.

BAJKA

Złożyło się tak szczęśliwie, że w jubileuszowym roku Sienkiewiczowskim znalazłam się na Kielecczyźnie. Więc oczywiście pojechałam z wycieczką do Oblęgorka.

Dworek w Oblęgorku od 1958 r. został przekształcony na muzeum, zawierające spuściznę literacką, a więc pierwsze wydanie dzieł Sienkiewicza, ilustracje tych dzieł (cały cykl Stachewicza do „Quo vadis”), portrety bohaterów Trylogii, które ogląda się tak, jakby to były wizerunki dobrze znanych, choć już nieżyjących, ale kiedyś prawdziwych ludzi, wykazy i egzemplarze tłumaczeń na kilkadziesiąt języków, a także zupełnie osobiste pamiątki: biurko, lampa, kalamarz, pióro; te wszystkie przedmioty, które towarzyszyły powstawaniu dzieł — oczywiście nie tylko w Oblęgorku, lecz tu teraz zgromadzone: portrety rodzinne, pamiątki z podróży w postaci przywiezionych trofeów myśliwskich i broni, fotografie. Wrażenie niezwykłe, że nie jest się w jakimś oficjalnym „muzeum”, lecz po prostu w domu pisarza, potęguje fakt spotkania u progu gospody-

ni tego domu, Pani Zuzanny Sienkiewiczowej, synowej Henryka Sienkiewicza, która jest tego muzeum kustoszem. Oczywiście Pani Sienkiewiczowa osobiście nie oprowadza zwiedzających, czyni to jakaś młoda osoba, której uciekam jednak, aby popatrzeć na rzeczy mniej znane. I oto znajduję rozwieszony na ścianie duży płat papieru z wypisanym wielkimi literami wierszem. Przeczytałam i zapamiętałam, że to bajka, Związana z liczną wycieczką, która udawała się w dalszą drogę w Góry Świętokrzyskie, nie mogłam wobec braku czasu odpisać wiersza, którego nie tylko nie znalazłam, ale którego treść zaskoczyła mnie niezmiernie.

Więc po powrocie do Rzeszowa, a wracając myślą do Oblęgorka, zaczęłam łamać sobie głowę, jaki tytuł miała ta bajka i jak ją odnaleźć. Czy była, i gdzie drukowana. Oczywiście poszłam do biblioteki i — jak to „habent sua fata libelli” — od razu natrafiałam na pozycję nie drukowaną w żadnym wydawnictwie za życia autora, lecz drukowaną pod tytułem „Pisma zapomniane i nie wydane” z papierów rodzinnych zebrane przez Ignacego Chrzanowskiego i wydane w Ossolineum w roku 1922. Tytuł bajki:

KWIATY I KRZEMIENIE

Szlachta rośnie jak kwiaty, w górę z bożej woli,
Chłopi — są to krzemienie, przyroste do roli.
Raz brandenburska świnią, wpadłszy w polską grzędę
Rzekła: „Biorę tę ziemię i na niej osiedzę.
Tu królestwo me będzie, które ryjem zorzę
I nowe państwo świnińskie w tych stronach założę”.
To rzekłszy — jęła prychać na wyszcigi z dziatwą —
Poszło jej latwo.

Więc tak, jak przystało na waleczną świnię
Wyrwa krasne róże, smukłe georginie,
Toż jaskry, co jak tęcza migocą się wiosną
I stokrocze, co rude w polskich sadach rosą.
Prycha wciąż, a tu leżą na obydwie strony
Złote i purpurowe kwieciste korony.
Wreszcie i zbrakło. Świnią wznosi ryj do góry
I kwik triumfu puszcza ponad same chmury.
Po czym kładzie się spocząć. Wtem ją w brzuch coś tłoczy;
„To krzemienie — zawoła, wyrzucmy je z roli!
Więc znów ryć poczyna. Nagle: „Mamo, ryj mnie boli”
Zakrzyknie jedno z prosiąt. I mnie krew już bucha
Woła drugie. Lecz locha w zapale nie słucha,
Leb zasadza w zagony aż po samo ciemność
I tak rwie, tak rozdziera nieszczęśliwą ziemię,
Aż jej ryj pękł na dwoje. Wówczas ze wstydem wraca
I tak rzecze do prosiąt: „Kinder, próżna praca.
Pyszne kwiecie tej ziemi latwo wprawdzie ginie
Ale krzemienie zmożą nawet pruską świnię”.

Podobała: JANINA GUZOWSKA

Krystyna Świerczewska

Turyści jednodniowi

W KRAJU IBSENA I WIKINGÓW

Miasto Ibsena i Wikingów, Muncha i Vigelanda, dawna Christiania znana z sag, nekana pożarami i u-parcie po dziś dzień preferująca budownictwo drewniane o spiczastych dachach, miasto — ogród zanurzone w zieleni łagodnych wzgórz, z portem w centrum, gdzie narbrzeże stanowi zarazem szeroki bulwar u stóp XIII-wiecznej twierdzy Akershus — najstarszego zabudunku Oslo, gdzie ratusz jak makietka ni to obronny zamek, ni nowoczesnego domu towarowego, rezyduje vis a vis przystani jachtowej z najdroższą restauracją norweską na wodzie i przycumowanym obok stateczkiem, który Norwedzy podarowały królowi — to miasto, skąpane w chylącym się ku zachodowi słońcu, w srebrzystej wodzie fontann, w ciszy popołudniowej siostry, z zamkniętymi sklepami, z płynącymi poprzec ulice wozami kwiatów — wpuszcza nas do swego wnętrza.

Przemieszanie stylów architektonicznych, które uderza każdego przybysza, wcale nie świadczy źle o jego estetyce urbanistycznej, lecz przeciwnie — pomaga zrozumieć ów pietyzm, jakim Norwedzy otaczają każdy ocalały z pożarów zabitek, ową namiętą pasję w gromadzeniu zbiorów kultury, dowodów prężnego talentu największych spośród jego niegdysiejszych obywateli, niespotykany wręcz kult dla sztuki, zupełnie nieznaną gdzie indziej — ułatwianie jej ekspansji publicznego oddziaływania.

No, bo czym da się innym uzasadnić propozycje rzucające rzeźbiarom i malarzom, by ozdabiali wzniesiony przed 30 laty ratusz, który już dziś zaczyna nabierać patyny zabitek poprzez nazwiska Sorensena, Vigelanda, Muncha; czym — propozycję uczynienia z auli uniwersyteckiej stałej ekspozycji Munchowskich fresków, czym wreszcie z Frogner Parku — równie stałego, tyle że nieprawdopodobnie gigantycznego muzeum rzeźb Vigelanda? Czym także jest inspirowany ów pietyzm dla wielkiego Ibsena; czym wytłumaczyć istnienie kilkudziesięciu muzeów, galerii i innych skupisk sztuki? I choć Oslo nie szokuje pięknem starej architektury — jest w tym mieście zupełnie niecodzienny klimat dla przemijającej kultury nie tylko duchowej, ale i materialnej, jest — chęć wydarzenia przeszłości wszystkiego, co zniszczyć może, a mówi o obyczaju i myśli ludzkiej; schronienia tego pod dachem, otoczenia pieczołowitą opieką.

I może dlatego tak nęci dziś turystę najstarszą kolekcją nart (sprzed 2 tysięcy lat nawet) w jedynej muzeum narciarskim świata w Holmenhollen, może dlatego najmniejsza ze stolic skandynawskich oszałamia największą ilością Renoire'ów i Picassów, kolekcją łodzi rybackich, kolekcją 150 drewnianych zabitek architektury z unikalnym XII-wiecznym kościółkiem, kolekcją wikingowych łupów, złupionych z kolei nieco później przez Duńczyków, kolekcjami sztuki ludowej, lapońskiej, morskiej?

Nie sposób to wszystko zobaczyć, ale świadomość, że się jest w stolicy, która tyle uwagi przywiązuje do swojej przeszłości i zarazem ceną współczesnych twórców — pozwala człowiekowi kulturalnemu na rzeczywiście piękne turystyczne przeżycie.

Naturalnie, że fch dumą narodową są trzy muzea usytuowane na półwyspie Bigdoy, gdzie nazwiska wielkich podróżników mieszają się z wyobrażeniami o starej świetności skandynawskiego kraju. Bo przecież w zupełnie naturalny sposób Thor Hajerdal wraz z pięcioma towarzyszami, Nansen, Roald Amundsen, Otto Sverdrup przywożą na pamięć ich morskimi ekspedycjami te najwcześniejsze — wikingowe sprzed XI wieków. I właśnie nie wiem, co więcej podziwiać: czy tratwę Kon-Tiki (obudowaną spiczastym dachem (bo te łyżka — to przede wszystkim o-omnna ilość trójkątnych dachów) przykrytą słomianą matą, ze słomianą budką — pokoiem, starą gitarą bez strun, latarenką z boku i poszarpanym żaglem, którą strzegą polinezyjskie totemy — giganty, a dopeniają dwa oryginalne

kanoe Polinezyjczyków (któż zresztą nie czytał o wyprawie Kon-Tiki i nie zna Thora Hajerdala?), czy młode małżeństwo norweskie obwieszone dosłownie trojgłowym dziełem w wieku od lat trzech do jeden (to ostatnie dźwiga tata niemalże na barana), które z nabożnym skupieniem ogląda stary, poczciwy, solidnie zbudowany przed niespełna 70 laty „Fram”, co tak bardzo rozślawił nazwiska dwóch Skandyna-



Obelisk Vigelanda

Fot. K. ŚWIERCZEWSKA

wów, zdobywców bleguna północnego; ów „Fram”, gdzie do dziś koło sterowe lśni błyszczącym mosiądzem, jak ilustracja z bajek Brzechwy o Królu Fafale, gdzie focze buclory Amundsen przy-mocowane do nart wyglądają zupełnie nowocześnie, gdzie błyszczą w pokoju lekarskim dość prymitywne, trzeba przyznać, przyrządy, które usuwano przypadłości spowodowane polarnym klimatem, gdzie stare pianino w saloniku statku mówi więcej o kulturze i tęsknotach tych nowocześnie Wikingów, co to nie dla łupów, ale nauki pognali w lodowy świat, niż całe tomy ich wzruszających pamiętników.

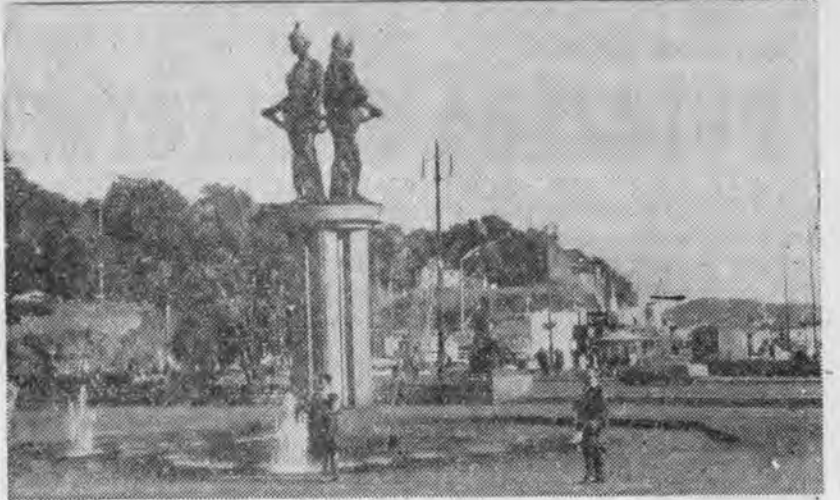
Wędrując po tych dwóch pozadach morskich — muzeach oszale-miona nagromadzeniem szczegółu, konserwacją, umiejętnością budowania przez wystawców nastroju, znakomitą propagandą wizualną kilkudziesięciu folderów, oprawa-wa i pocztówek.

Toteż kiedy wkroczyliśmy w królestwo wikingowe — pod trzeci spiczasty dach i słucham opowieści o statkach — znaleziskach z Oseberg, Gokstad i Tune i widzę je — te postrachy wczesnośredniowiecznej Europy, jak swoją fineryjnie piękną linią, niczym szyja lądzia, pną się ku górze, widzę ich wnętrza, ich dobytek, który w niczym nie przypomina starych prymitywów — dzieje kultury tego kraju o osobliwej historii, po Wikingach, niestety, mniej przeładowanej sukcesami panowania i władania, systematyzującej się w logiczny ciąg, uzasadniony wiedzą o wczesnym średniowieczu.

Właściwie przywykliśmy myśleć o Wikingach, jak o gangsterach Dalekiej Północy; tymczasem w tych statkach — wykopaliskach mówi do mnie przede wszystkim stara kultura, zrodzona z hartu ducha, odwagi, bezwzględności i siły. Zresztą czyż nie odwagi trzeba, by jak w tym z Oseberg, urządzić z panną szubieną swoje pośmiertne mieszkanie, co uczyniła przecież królowa Wikingów — stara Asa; wyjechać nim na Morze Północne, pływając po fiordach, oczekując śmierci? A przecież to bynajmniej nie fantazja, ale odkrycie naukowe, że statki te służyły panującym Wikingom także za pływające grobowce, że w ostatnią podróż zabierali to wszystko, co za życia stanowiło o jego powabach i wielkiej kulturze: są dziś jej świadectwa zamknięte w kawałkach tkanin misternie wyrabianych, szlachetnych ozdób, bezczekach o masywnych okuciach, płaskorzeźbach skrzyń, w których nieznani mistrzowie nie bez poczucia humoru i karykatury uwiecznili twarze królewskiego dworu; są szkielety koni, psów, wołów; dotrwały do naszych czasów resztki wykwinowego pożywienia — orzeszki ziemne, skrzynie na jabłka; dotrwały edredony, łoża, słowem — to, co potrzebne wielkiej damie w podróży...

Na łodzi z Gokstad odkrytej w 1880 roku we wschodniej części fiordu Oslo, łodzi długiej na 23 metry, a ponad 5 metrów szerokiej, znaleziono nawet szczątki pawia — ptaka tak bardzo na ówczesny egzotyczny w Skandynawii, że rzeczyć by potwierdziła hipotezę o wędrówkach Wikingów ku morzom południowym — ku Morzu Śródziemnemu. Kiedy patrzę na elegancję i czarowną konstrukcję tej dużej łupiny, jakoś ciężko zaprzagnąć wyobraźnię, by umieścić ją na falach Atlantyku, choć to przecież już udowodniła rzeczywistość...

Osaczona historią, skaldami, legendą wieków niemal nawet nie zauważam przejścia w dzisiejszy świat i otrzeźwia mnie dopiero głos starszej pani w koronkowym dzianocie na głowie, która robi co



Plac przed ratuszem.

może, by przewodniczyć dobrze turystom z Polski i tłumaczy nam z miłym uśmiechem, że: w tej tu oto letniej rezydencji króla, gdzie przed drewnianym dworkiem suszą się na długich sznurach królewskie prześcieradła kąpielowe, przed kilku laty nocował Nikita Chruszczow. Coś się biedaczce pomieszało, jak tej Libance z opowiadań dyplomatycznych Janusza Markarczyka, która twierdziła, że pan X jest jego rodaczką, pochodzi bowiem z Finlandii, a wiadomo, że Finlandia i Polska — to to samo...

Dziękujemy milej pani za informację o rodaku, wysłuchujemy z całą należną atencją, że w tej chwili właśnie jesteśmy na ulicy milionerów, choć dziwią nas trochę straszne, secesyjne budy tej egzotycznej kasty ludzkiej, mijamy ibsenowskie muzeum, które nie wiadomo czemu wyobrażałam sobie z dżką kaczka nad drzwiami, mijamy inne muzeum — Muncha, do którego modliła się Młoda Polska, a przynajmniej ta jej część, obcująca z Dagny Przybyszewską i twórcą prapolskich ciuci, nagich dusz oraz ekshibicjonistycznego krzyku i... stajemy przed inną świętością narodową — „Frogner Parkiem”, gdzie zaczyna się królestwo Gustawa Vigelanda.

Dość trudno mi o nim pisać, bo historia tego rzeźbiarza, oficjalnie uznanego przez Norwegów za geniusza, który ze skromnego konkursu na fontannę, jaki wygrał był za młodych lat, uczynił dziś muzeum na świeżym powietrzu i to muzeum swoich możliwości, rozszerzające za otrzymywane sukcesy od rządu wynagrodzenie, nieco zdumiewa nas, Polaków. Oddano mu fundusze wszystkich stypendiów miejskich w zakresie sztuki, bo — jak powiadali jego zwolennicy — twórców jest wielu, ale geniusz rodzi się raz na

tysiąc lat. Geniusz więc pracował swobodnie; nieograniczony żadnymi rygorami budował koncepcję rzeźby ilustrującej życie ludzkie z wszystkimi jego przejawami.

Pomagały mu w tym ekspresjonizm i naturalizm, wyobraźnia i mistrzostwo nie byle jakie — stworzył zatem giganty, które krzyczą awansowi o życiu ludzkim, ukoronowując tę panoramę kolosów obeliskiem skiełbionych ciał, gdzie gniew i rozpacz wytycza ścieżkę awansowi w życiu, gdzie słabi odpadają, gdzie najsilniejsi są najbliższej gwiazdy, gdzie alegorie podłości i szczęścia, miłości i śmierci mówią za ludzi językiem twórcy.

Wokół tych rzeźb snuje się kamienny labirynt ścieżki (by go zgłębić trzeba dwóch godzin), fontanny, kwiaty, przepyszna zielen, słowem — bogactwo kraju rozmiłowanego w czystości, za pan brat żyjącego z pięknem i sztuką.

Kończąc tę wędrowkę, gdy w kłozach latarni zapalają się światła, a nad nimi chybotą wazony kwiatów, gdy na bulwarze przy przystani czerwony volvo rycząc syreną pcha się pod nasz autokar, a uśmiechnięty kierowca z flegmą patrzy na małe, rzucające się pudełko i spieszącego się w nim pana w smokingu.

Później już tylko neonowy napis Fred Olsen. Linie nad pękatymi zbiornikami oleju, nad nimi księżyc, światła jak w każdym porcie, port jak z bajki, układające się do snu między wzgórzami i lasem miasto — stara Christiania, która przed kilkunastu laty trafiła do mnie poprzez Fritiofa Nansena, a nieco później wstrząsnęła okrutną epopeją „Głodu” Hamsuna. Piękny kraj. O wiele piękniejszy niż można to przekazać. Równie piękny jak ludzkie wyobrażenia o tym abstrakcyjnym pojęciu.

Felieton

POTEGA PRASY

Droży Czytelnicy

Zawsze dotąd byłem przekonany, że zadaniem gazety jest informowanie was, co słychać w świecie i w powiecie, i komentowanie wydarzeń z entuzjazmem lub zgryźliwością. Okazuje się jednak, że wy sądzicie inaczej. Obarczacie nas obowiązkami ponad nasze siły, żądacie rozstrzygnięcia spraw nierozstrzygalnych, domagacie się, byśmy byli cudotwórcami, jasnowidzami, najwyższą władzą — i jeszcze paru innych drobiazgów. Jeśli według waszego mniemania nie stoimy na wysokości zadania i waszych skromnych życzeń nie załatwiamy, tracicie do nas zaufanie i później brzydko się o nas wyrażacie. O tym, czego się od nas oczekuje dowiadujemy się z setek waszych listów, które płyną do nas nieprzerwanym strumieniem. Pół biedy, jeśli w tych listach ktoś z was domaga się informacji, których nie znalazł na naszych łamach. Np. kto skradł konie jednemu z czytelników, gdzie można sprzedać żniwe, gdzie mieszka jedna pani, która nie przyszła na umówione spotkanie itd... Wtedy głosimy się tu w redakcji przez kilka dni, ale niestety, dochodzimy do wniosku, że nie wiemy i taką wysyłamy odpowiedź.

Ale gdy ktoś pisze tak: „Proszę was Szanowna Redakcjo, napiszcie gdzie można kupić pewny i dobry, szczęśliwy los na loterie, bo nie mam dokładnego adresu... Ja potrzebuję kupić los pewny, żebym wygrał kwotę pięciuset złotych, żebym miał czym poratować, bo jestem biedny”, to wiadomo, że jesteśmy w związku z tą loterią przegrani. Chyba, żebyśmy wypłacili z własnej kieszeni naszemu korespondentowi jakąś sumę, ale tego niestety

nasz pracodawca nie przewidział.

W jeszcze trudniejszej sytuacji stawia nas inny list, w którym Czytelniczka żąda, by „Nowiny” opisały jedną kobietę, a jest nią... (powiedzmy pani Z. z miejscowości N.). Otóż... „dwie córki już ożenila tylko za pomocą pisania listów i chodzenia do kawalerów i namawiania ich do ożenku... Ma jeszcze trzecią, na imię ma Katarzyna — też tak samo pisze o niej listy do chłopaków, i sama chodzi, i drugim pannom odbiera kawalerów. Nie da nawet żadnej pannie przejść spokojnie, bo ją wyobławia do chłopców... Otóż Droga Redakcjo, bardzo proszę uprzejmie załatwić mą prośbę, i proszę to napisać po swojemu, tak żeby już wreszcie przestała tak robić”.

W zakończeniu proponuje... „Jak się u was opłaca za pisanie w gazecie, to ja poślę pieniądze”.

Niestety nie mogliśmy spełnić prośby naszej Korespondentki — nie opisałismy pani Z. Walczy o „szczęście rodzinne” jak może, jakże jej w tym przeszkadza. Nawet za największe pieniądze!

Jeszcze bardziej skomplikowanej przysługi żąda od nas inny Czytelnik. Również prosi o opisanie w gazecie żony i synów, którzy go źle w domu traktują. Zona mu wymyśla, kłóci się z nim, szkaluje go i obraża. Nasz Korespondent pisze... „proszę uprzejmie wysłuchać i proszę to opisać w gazecie, żeby moja żona pamiętała i wstydzila się, i kajata”. Cóż, przyznajemy, że żona postępuje nieładnie, ale gdybyśmy wiedzieli co robić, by żony nie wymyślały — sami skorzystalibyśmy z tego. Po takich listach ogarnia nas poczucie bezsilności — współczujemy, a nie możemy pomóc.

Nie mogliśmy również udzielić

żadnej pomocy matce, która skarży się na to, że kilkunastoletnie dziewczęta i chłopcy chodzą do „Kosmosu”, włóczęgą się po parku, przychodzą do domu o 11 lub 12 w nocy. Prosi, by w gazecie piętnować takie nocne wybruki i wypędzać młodzież z kawiarni.

Nie jesteśmy upoważnieni do wypędzania kogokolwiek z kawiarni. Piętnować możemy, i czynimy to uroczyście w tym miejscu, ale czy to poskutkuje?

Ktoś inny jeszcze pisze, że ma 14 lat, czuje powołanie do pisania wierszy i żąda, byśmy mu pomogli zostać członkiem Związku Literatów, jeszcze inny Czytelnik skarży się, że mu sąsiad wytruił kury i pyta co ma zrobić...

Piszecie do nas w sprawie dymu z komin sąsiada, i skarżycie się, że wam odmówiono pożyczki, że zła pogoda niszczy wam plony, i że inni otrzymują paczki z Kanady, a wy nie. Bylibyśmy wam bardzo wdzięczni za to dzielenie się z nami waszymi kłopotami, gdybyście nie żądali zawsze, by wam to pozytywnie załatwić. Bardzo nam wstyd, że nie stoimy na wysokości zadania i zawadzimy wasze zaufanie, ale potęga prasy naprawdę nie jest tak wielka, jak się wam wydaje. Nie zmienimy żon, nie naprawimy dzieci, nie wiemy, który los wygra na loterii, nie wiemy, kto skradł konie — i musicie nam to wybaczyć.

Natomiast tam, gdzie gazeta może wam udzielić pomocy, chętnie to uczynimy. Piszemy o tym do was w związku z Tygodniem pisania listów, który niedawno minął i udzielamy jedynej pociechy, na którą nas w takich sprawach stać — to wszystko przejdzie, jeszcze będzie dobrze.

JOTGIEL

Cecylia Błońska

LISTY OD CZARODZIEJA

Zapowiedź, iż w roku bieżącym znawia się wydanie „Buddenbrocków”, „Czarodziejkiej góry”, „Opowiadań” (w części już zrealizowane, gdyż „Opowiadania” np. „Anonimowe uzupełniająca lektura dla klasy XI są w księgarniach) widnieje na maszynowej obwolutie wyboru Listów w Tomasa Manna. Tom ten obejmujący listy wielkiego pisarza z lat 1889—1936 tawdzicamy „Czytelnikowi”, któremu należałoby chyba wyrazić uznanie za te pozycje, staranna jej forma, a przede wszystkim za to, że wspaniała korespondencja niemieckiego pisarza — mamy tu jego listy od wczesnej młodości po pierwszy okres przymusowej emigracji z Niemiec — dotarła do nas w tak bogatym wyborze, w przekładzie Wandy Jedlickiej, który raczej pozostawił wykwiłtina, błyskotliwą a trudną ich prozę w niekniektym kształcie.

Wydawczynią „Listów”, które w oryginale ukazały się w trzech tomach, jest córka pisarza Erika Mann. Nie miejsce tu na przypis, tak samo, jak i na obszerniejsze wprowadzenie należne całej, jakże interesującej rodzinie Mannów — pisarzy, autorów pamiętników, aktorów, muzyków. 600 stroniec leżący pamiętnik pt. „Było nas pięcioro — obraz rodziny Mannów” pozostawił po sobie syn Tomasz Manna — Wiktor. Erika Mann jest również autorką poświęconej Tomaszowi Mannowi opowieści zatytułowanej „Ostatni rok — opowieść o moim ojcu”, która ukazała się w przekładzie polskim w r. 1961 nakładem Wydawnictwa Poznańskiego. Wspominam o tej niewielkiej stosunkowo pozycji, której walory literackie oceniam dość różnie, dlatego iż zawiera wiele cennego materiału dotyczącego roku 1955 — ostatniego roku życia wielkiego pisarza, dostępne zaś obecnie polskiemu czytelnikowi „Listy” kończą się na roku 1936.

Urodzony w r. 1875 T. Mann, jeden z największych pisarzy XX wieku, mając lat 25 wydał już „Buddenbrocków”, jego „Czarodziejka góra”, którą ukończył mając lat 49, stała się wydarzeniem literackim niepospolitej miary.

Gdy po latach wojennego kataklizmu, w świecie przywróconym ludzkim normom, czyniliśmy na gorąco próby, by nazwać to pospolicie, bilansu ocalonych w pamięci książek, dzieł, nieomal jednogłośnie stawialiśmy „Czarodziejka góra” w rzędzie tych lektur, których niespotykana magia dawała trochę wytchnienia podczas strasznego czasu. O dzieło, okrucieństwa, których byliśmy ofiarami, czy bodaj świadkami, twarde lata głodu, nie wyparły z naszej pamięci magicznej urokliwości, która emanowała z kart „Czarodziejkiej góry”...

Szerokim kręgom starszych czytelników nie trzeba przypominać, że Tomasz Mann był laureatem nagrody Nobla, a młodszym, iż spod jego pióra po wojnie w r. 1947 wyszedł „Doktor Faustus”, wielkim sukcesem uświetnione „Wyznania hochstaplara Feliksa Krulla”, że tłumaczenia na język polski czterdziestu dwu utworów, pięciu całych zbiorów opowiadań i esejów świadczą o wielkiej jego poetyckości w naszym kraju. Oczywiście obszerny tom „Listów”, jakie otrzymuje polski czytelnik, ze starannym a klarownym aparatem objaśnień, to 422 pozycje pisane nie dla szerokiego kręgu czytelników, lecz adresowane do najbliższych, osób umiłowanych, do wielkich pisarzy, filozofów, muzyków, myślicieli epoki, odkrywają przed miłośnikami mannowskiego dzieła niejedną przypis, niejedną zaskakującą eksplikację. Ileż takich wskazań w jednym tylko liście do Adolfa Fannera (r. 1927) w związku z odczytem tego znanego profesora na temat zagadnień choroby w „Czarodziejkiej górze”.

Mann nie wydaje się zachwycony odczytaniem przez Fannera powieści jako studium choroby, rozpatrywania jej z czysto medycznego punktu widzenia. „Problematykę medyczną — pisze — przejrzał Pan na wskroś — natomiast problematyki kulturalnej nie: nie dostrzegł Pan tej dialektyki europejskiej, która, jak sądzę, z logiczną i nieubłaganą konsekwencją prowadzi do wojny światowej — co Pan uznał za wyjście z kłopotliwej sytuacji — o owej katastrofy, w której znika sam z oczu Hans Castorp, nucąc wciąż jeszcze swą ulubioną romantyczną piosenkę o śmierci. Czy sądzi Pan, że ta dialektyka nie ma nic wspólnego z tematem powieści? Przecież ten medyczny temat nie jest w końcu niczym innym, jak drogą wychowawczą, która poprzez przeżycie cielesne prowadzi małego Hansa do idei człowieczeństwa”...

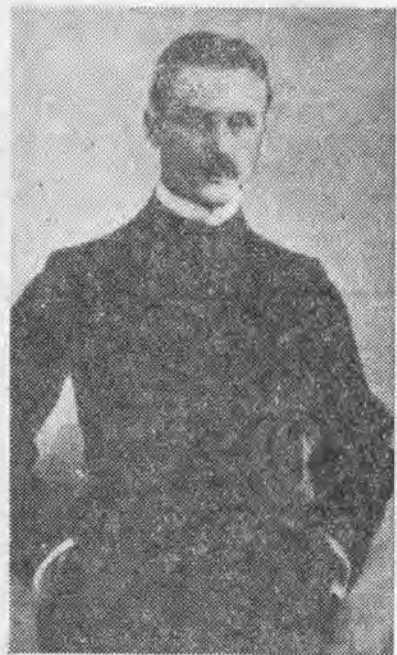
Przynajmniej jednakże, że nie tyle źródła literackich zamysłów, naswietlenie roli bohaterów i ich powiązań z żywymi autentycznymi osobami, zaintrygowany mnie w listach Czarodziejka — jak nazywała Tomasz Manna nie tylko najbliższa rodzina.

Obok jego frapującego pisarstwa, nas pokolenie międzywojenne i wychowanków uniwersytetu z tego okresu, zapowiadającego już nadciąganie wojennej katastrofy, frapował sam Mann jako reprezentant niemieckiej literatury, niemieckiej kultury, niemieckiego narodu.

Pamiętam okropnie niepokojące wiadomości napływające wówczas z Niemiec i wieść o tym, że autor „Buddenbrocków” i „Czarodziejkiej góry”, Niemiec z krwi i kości, na znak protestu opuścił swą ojczyznę — Niemcy. Somnę żarliwą dyskusję z nieodżałowanym profesorem Leonem Chwistkiem, którego wykład o estetyce w zawieszanej nad bocznymi schodami

salce Uniwersytetu Lwowskiego okupowaliśmy tak tłumnie i które kończyły się zazwyczaj wielką swobodną rozmową z profesorem — później ofiarą hitlerowskiego ludobójstwa; roztrząsalimy z nim, czy decyzja wielkiego pisarza była słuszna, czy nie powinien raczej pozostać w kraju, z którego wywodzili się całe pokolenia jego osiadłej, szanowanej, zamożnej rodziny, wysoko utytułowani antenaci jego zony, by trwając w miejscu przeciwdziałał pogromowi kultury, który przeżuwał. Na te pytania jednoznacznej odpowiedzi udziela lektura „Listów”. W obszernym, aż na 10 punktów podzielonym liście do B. Fuczika, pisze wręcz o zagładzie, jaka w hitlerowskich Niemczech zawiła nad całą sztuką, zagrażającą jego twórczości.

Pod koniec r. 1932 siły postępowe ludzi się jeszcze w Niemczech, że po przegranych wyborach minęła największa groźba rządów nazistowskich;



Tomasz Mann (zdjęcie z r. 1900)

pisarz nie ulegając utrudnie nie powrócił już do Niemiec ze swego tournée z odczytami na temat cierpienia i wielkości Ryszarda Wagnera. List z 15 maja 1933 roku do Alberta Einsteina gorzko komentuje smutek zerwania z krajem, które nieuniknione, przynębia i trwoży. Już wówczas Mann dostrzega nienawiść, zemstę, pospolitą rzadzą mordów zalewającą Niemcy wzbierająca fala. Nie uwiarzę nigdy — stwierdza w tym liście — by mogło z tego wyniknąć coś dobrego, czy to dla Niemiec, czy to dla świata. „Fakt, żeśmy do ostatka ostrzegali przed siłami, które doprowadziły do tej katastrofy moralnej i intelektualnej, na pewno będzie dla nas kiedyś tytułem do chwwały, ale my zapewne przedtem zginęmy”.

Jeśli dla milionów ludzi, którzy zwykli byli uważać kulturę niemiecką za wzorczą, cierpieć wraz z Wertherem Goethego, cytować Schillera, smakować patetyczną muzykę Wagnera, ten straszliwy upadek Niemiec hitlerowskich na dno zbrodni był sprawą zdumiewającą, to wspaniała, walcząca postawa Tomasa Manna stanowiła próbę rehabilitacji tej kultury w oczach świata. Listy zadają kłopoty nie tylko „teorii”, że Niemcy hitlerowskie zamierzali „tylko” rozprawić się z Żydami, pisarz wykazuje, iż celem ich była totalna zagłada.

„Mój brat Henryk i ja nie jesteśmy Żydami — pisał w pamiętnym roku 1936, gdy pozbawiony został obywatelstwa przez III Rzeszę, do Eduarda Korrodiego w liście otwartym, publikowanym w Neue Zürcher Zeitung — Leonard Frank, Rene Schickele, żołnierz Fritz von Unruh, rdzenny Barwarczyk, Oskar Maria Graf, Annette Kolb, A. M. Frey, a z młodszymi chęć Gustaw Regler, Bernard von Brentano i Ernst Glaaser także nimi nie są. Fakt, że wśród emigracji element żydowski jest stosunkowo dość licznie reprezentowany, wynika z natury rzeczy: z nieubłaganej rasistowskiej polityki narodowych socjalistów... Dodam tu jeszcze nazwiska Berta Brechta i Johanna R. Bechera, dwóch poetów — ponieważ Pan powiedział, że nie potrafi wymienić ani jednego poety-emigranta”.

Listy do Stefana Zweiga (r. 1936) zawierające wiele bolesnych szczegółów odnośnie trudnej roli, jaką sobie zgłował opuszczając Niemcy, są równocześnie mocnym protestem przeciwko zalewowi brunatnego barbarzyństwa. Pozbawiony przez hitlerowską Rzeszę ojczyzny, nie przerywał studiów nad Goethem, któremu przez całe życie pozostał wierny. Oddany ideałowi pisarza walczącego o sprawy zasadnicze, w ostatnim roku swego pracowitego żywota, w obliczu ponownego niebezpieczeństwa wojny, czynnie angażował się w stworzenie jakiejś grupy wybitnych pisarzy, historyków, filozofów, która by wystosowała wspólny apel i ostrzeżenie do narodów świata w obronie zagrożonego pokoju.

Jak pożądana i owocna wydawała by mi się dyskusja nad „Listami” w naszym młodym rzeszkowskim środowisku twórczym, które — co mieliśmy

okazje słyszeć na ostatnim zebraniu Klubu Literackiego — energicznie zmierza do utworzenia tu samodzielnego oddziału Związku Literatów Polskich, manifestuje swą prężność nowymi drukowanymi pozycjami.

Nierzadko bowiem w środowiskach twórczych toczy się dyskusja wokół koniecznego dla procesu pisarskiego spokoju, wręcz wyobcowania się autora z kręgu zagadnień teraźniejszości, które jakoby zamykają dzieło literackiemu drogę do trw. nieśmiertelności. Przeczy takim wnioskom wspaniała twórczość Tomasa Manna, jego bujne dzieło, które owocowało do ostatnich nieomal chwil jego życia. Nie trzeba chyba żadnych dodatkowych wyjaśnień, by odczytać w nim zapis współczesnych wydarzeń, przetransponowanych na język najczystszy w gatunku literackiego dzieła, które długo trwać będzie. Takim małym arcydziełem jest choćby, powstałe w r. 1930, opowiadanie „Mario i Czarodziej” o sfaszycowanych, hałaśliwie nacjonalnych Włoszech — ongiś kolebce europejskiej cywilizacji — kraju Dantego — porażonych i zhańbionych szowinistyczną polityką Mussoliniego. W karykaturze hipnotyzera, agresywnego oszusta, obrzydliwego Cipolli, któż nie odgadnie późniejszych hitlerowskich iobuzów, pewnych siebie organizatorów sprawnie działającego ludobójstwa? Któż potępi Maria, chłopca z ludu, za to, że kładzie w końcu trupem te kreatury, bezkarną w swym bececeństwie? Kto w Doktorze Faustusie, w wyznaniach Feliksa Krulla nie odnajdzie wyraźnego, głębokiego refleksu pałających problemów naszego współczesnego świata?

Lektura „Listów” — pereł prozy, stylu, logiki, gdzie głos wielkiego czarodzieja rozbrzmiewa w całym swym złożonym bogactwie na pewno przysła się niejednemu adeptowi literatury. Tem głos, tak żywo roztrząsający wszystkie wydarzenia i nam dzisiaj bynajmniej nie obojętne, rozlega się z poblizka „Czarodziejkiej góry”. Po 40 latach sukcesów, książka będzie obecnie przeniesiona na ekran. Jej magia, jej fascynacja ma widać siłę nieprzemijającą...

Franciszek Kotula

Nie sława Mazowsza

Pod koniec września w Rzeszowie, w WDK, CPARA (Centralna Poradnia Amatorskiego Ruchu Artystycznego) zorganizowała „Ogólnopolską naradę poświęconą współczesnej problematyce polskiego folkloru muzycznego”, na którą, jako wykładowców zaproszono wybitnych specjalistów z tej dziedziny. Wysiłek organizacyjny i finansowy tak CPARA jak i WDK w Rzeszowie był odpowiedni do wagi problemu.

Zanim przystąpię do omówienia niektórych aspektów tego problemu, chcę przypomnieć, co się dziś dzieje na świecie. Nie będę się rozwodził nad tym, jakie niebezpieczeństwa — obok wysokich pozytywów — niesie przemysłowa, czy już nawet elektronowa cywilizacja, bo to są rzeczy znane. W krajach, gdzie wynaturzenia kapitalistycznego modelu cywilizacji zagrażają ładu i porządkowi życia społecznego, nastąpił równocześnie nieraz wręcz gwałtowny nawrót do folkloru ludowego, traktowanego jako pewnego rodzaju antidotum przeciw narastającemu złu. Nawet w USA przypominano sobie kowbojskie ballady, nawet Szwecja z popieliska odgrzebuje swój rodzimy folklor. I to wszystko po okreśeniu zupełnego zubożenia i wyrzuceniu z życia tego zjawiska. — akcentuję to po raz wtóry — to nie jest kaprys, to ma jakiś zasadniczy sens, spełniający w życiu wielu narodów ważną funkcję reedukacyjną.

Nie chcę się szerzej rozwodzić, ale jest faktem, że folklor polski należy do najwspanialszych w świecie. Tak słowny, a przede wszystkim muzyczny. Jego nieliczni miłośnicy i entuzjaści chcą go zatrzymać przy życiu za wszelką cenę, to jego twórcą, wieś polska porzuca go bezceremonialnie jakby się go wstydzila. Są i tacy co szczerze białają nad zanikiem folkloru, ale są i tacy, którzy z niego pokpiwają. I oto problem, jaki przedstawił jeden z wykładowców: — czy i u nas musi dojść do tego, jak na Zachodzie, że najpierw musi zagnąć, aby go następnie w trudniej reaktywować? W wielkim nakładem wysiłków i kosztów? A mam tu na myśli nie scenę, ale codzienne życie.

Bardzo niedawno, na jednym z sejmików działaczy kultury — któremu przewodniczył człowiek pracujący w kulturze — padły na temat rodzimego folkloru i jego znaczenia, słowa pełne entuzjazmu. Przewodniczący do owego przemówienia — trochę z urzędu, trochę jakby *ex cathedra* — ustosunkował się: gorzej aniżeli sceptycznie, bo lekceważąco, że nie ma sensu kontynuować tego, do czego ludzie odnoszą się coraz obojętniej.

Ogarneły mnie smętne myśli. Nie z tego powodu, że w sprawach folkloru zabierają głos ludzie, którzy często nie znają go i nie rozumieją i którym — wydaje się, że entuzjazm propagują powrót do dymnych chałup, butów z wiechciami, ciężkich kozuchów itp. To tak, jakby coraz liczniejsi miłośnicy konnej jazdy propagowali reaktywowanie w polskiej armii kawalerii, z szabelkami i lancami.

Folklor ludowy — taki czy inny jego rodzaj — w tej chwili jest przede wszystkim tworzywem dla coraz to nowej i aktualnej twórczości



Babie lato rozwiesiło swoje srebro na telewizyjnych antenach, przez to pole pod moim oknem prześwietlają czerwone zachody słońca nazbyt wcześnie — nieomylny to znak, że czas pisać o programie, by obronić się przed sentymentami, którymi z maestrią niezrównaną i niezmiennie oplatają nas polskie jesienie.

Cóż tedy robi telewizja? Apłkuję nam śliczną Kalinę Jędruskę w roztekniionych wyczekiwaniach na człowieka (?), nazywa rzecz po ritti-

nerowsku „Spotkaniem-a-zmierzchu” i konstruuje filmik, po którym powiem, że nic lepszego do rozwiewania sentymentalnych uczuć nie znajdziemy nad film polski, zanurzony w sentymentalizmie po głowę (Czy film może mieć głowę? — zapytał pewien sceptyk. — Powinien — odpowiedział inny...)

No i już człowiekowi weselej, raźniej, już mu bardziej do śmiechu niż jesiennych smuteczków.

Najzupełniej poważnie zastanawiam się, czy nie zmienić tytułu mojej rubryczki z „Telewizyjnych 7 dni” na „Telewizyjne jedno widowisko” i właśnie temu jednemu, najlepszemu, nie poświęcić nieco większej uwagi. Ale czyż rzecz będzie wtedy sprawiedliwa? Wysłała się dla nas przez boży tydzień, z bóże pożał się rezultatem — jakie tedy zanegować mam prawo ten wysiłek, poprzestając na jednym arcydziele? A jeśli przy tym takiego w 7 dniach nie uświadczysz — to milczę by mi przyszło z uczciwością dość długo. Wtedy ni rubryka, ni wierszówka redakcyjna sensu by nie miały.

Poza tym, jak człowiek lubi gawędzę z Czytelnikiem — czemuż sam sobie miałby odbierać przyjemność?

Po tych wszystkich zbędnych, bądź do niczego nie prowadzących dywagacjach przeciw sobie i tytułowi oraz zważywszy, że o 3 miesiące letnie starsza, a starsi lubią tradycję — ogłaszam, że nihil novi sub sole i rubryka będzie sobie trwała dalej. Ponarzekam w niej czasem, co sobie tam pochwałę, co oczywiście mamie o sobie się spodoba (niechże moi oponenti rzecz zrozumieją, że z a w z e będziemy mieć adwersarzy i zwolenników, bo to prawdziwość każdego pisania), co zganię przeciw czemuś gwałtownie zaprotestuję — w sumie jednak z przyjemnością oglądając strawę podsuwaną nam w jesiennie wieczory.

A że przy tym mam zaufanie do wszystkich ludzi, więc wierzę, że i telewizja nie postąpi z nami nieludzko i wycofa na zawsze znakomity film „Upiór na sprzedaż”, którego dialog uwiem na pamięć i w wolnych chwilach sprawdzam dzięki niemu swoje umiejętności aktorskie przed lustrem, że nie uróci „Kapitan Sowa” i nie uczczy filmowej mądrości „Czterem pancernym i psu”, że nowy francuski serial dla młodych „Sebastian i Bella” będzie urozumiującym obrazkiem lirycznym na psie tematy.

Mam też błogą nadzieję, że spotkam trzech najmądrzejszych gawędziarzy telewizji: prof. prof. Białostockiego, Zina oraz Grzybowskiego, że pośmieję się z jednego najdowcipniejszego Fedorowicza, że rozmarzę przy piosenkach intelektualisty Kydryńskiego, który nota bene wcale nie jest taki zły, jak mu to niektórzy chcą wmowić.

I w ten sposób nieco weselej minie mi ta jesienna tęsknica, która każdego szanującego sentymenty człowieka rozpaskudza lirycznie; brzmiać dysonansem zdziwienia w jego poglądach. Opancerzona tedy własną przewidującą roztropnością zapraszam moich najmiłszych Czytelników, za którymi się wielce stęskniłam, do poczytania za tydzień...

Korysty ma

MIKOŁAJ CZERKASOW

Było to w roku 1918 w Leningradzie. Teatr Maryjski (obecnie Leningradzki Teatr Opery i Baletu im. Kierowa) wystawiał operę „Don Kichot”, w której wykonawcą głównej



rolę był znakomity artysta, słynny bas, Fiodor Szaliapin. W tłumie studentów występował wtedy szczypty, wysoki, szesnastoletni student wojoskowskiej akademii medycznej Mikolaj Czerkasow, który dzięki swoim warunkom fizycznym dublował wielkiego śpiewaka w scenie z wiatrakami. Chwile spędzone wówczas na scenie i za kulisy teatru zdecydowały o dalszych losach młodego studenta.

Rzucił akademię medyczną i rozpoczął studia teatralne, kontynuując pracę na scenie. Nadal więc przejeżdża na Rossynanta od kulisy, tańczy w ostatniej parze w „Eugeniuszu Onieginie”, starannie i pilnie uczy się podstaw aktorskiego rzemiosła. Od roku 1922 gra już główne role — przeważnie komedienne — zdobywając sobie popularność, urzekając widownię i reżyserów, którzy przedkładają mu coraz to nowe propozycje.

W 1926 roku już jako znany aktor teatralny debiutuje Czerkasow na ekranie filmem „Poeta i car”, rozpoczynając nowy etap w swej karierze artystycznej. Właśnie na ekranie odniósł swe największe sukcesy, właśnie w filmach stworzył kreacje, które przejdą do historii X Muzy. Początkowo występował w różnych rolach, później wyspecjalizował się niejako w kreowaniu postaci wielkich uczonych, panujących i artystów. Grał Gorkiego i Roosevelta, Stasowa i Miczurina, Majakowskiego i barona von Ungerna.



Pierwszym sukcesem filmowym artysty była rola profesora Polezajewa w filmie „Delegat floty”, a następnie postać carewicza Aleksiego w „Piotrze Pieruszynie”. Ogromny rozgłos zyskiwał jednak na całym świecie rola tytułowa w słynnym filmie Sergiusza Eisensteina „Aleksander Newski”. Kreacja ta, obok roli Iwana Groźnego również w filmie Eisensteina, to ogromny sukces i osiągnięcie artystyczne aktora zaczynającego przecież od małych komediowych ról, zdoby-

wającego popularność naśladowaniem i parodiowaniem długonogiego chudeusza Pata ze słynnej duńskiej pary komików.

Obok Czerkasowa — Aleksandra Newskiego i Czerkasowa — Iwana Groźnego w pamięci naszych widzów filmowych utrwalił się artysta najsilniej w roli Don Kichota w ekranizacji wielkiego dzieła Cervantesa dokonanej przez późniejszego twórcę wspaniałego filmu „Hamlet” Grigorija Kozincewa. Rola rycerza z La Manczy to rola przewijająca się przez całe życie aktora. Grał ją wiele setek razy na scenie, by pod koniec swej twórczej drogi wystąpić w niej na ekranie. Po dublowaniu Szaliapina w latach 1918—1919, Czerkasow zagrał Don Kichota już jako pełnowartościowy aktor w roku 1922, w Teatrze Młodego Baletu, budując swą rolę w oparciu o taneczne i pantomimiczne środki wyrazowe. W cztery lata później w Teatrze Młodego Widza kreuje tę postać w sposób całkiem odrębny: z bosakiem zamiast piki ugania po scenie na trójkołowym rowerze imitującym Rossynanta; na takim samym rowerze jeździ Sancho Pansa. Spektakl pomyślany był jako groteska, stąd właśnie spotęgowana ekscentryczność postaci, wypuklenie momentów komicznych i rezygnacja z filozofii Don Kichota. Przedstawienie cieszyło się dużym powodzeniem, nie schodziło ze sceny przez trzy lata.

Zupełnie inaczej zagrał aktor tę samą rolę w roku 1941 w Teatrze im. Puszkina. Don Kichot Czerkasowa nie był tu już tylko karykaturą cervantesowskiego, figurą jedynie śmieszna i niezgrabna. Reżyser i aktor zbudowali tę postać z podkreśleniem elementów tragicznych, rezygnując z komediowych przerysowań i jednostronności.

A oto piętnaście lat później w roku 1956 ukazują się na ekranach „Don Kichot” w adaptacji E. Szwarca i G. Kozincewa. Czerkasow liczący wówczas 53 lata zagrał tytułową rolę znakomicie, zadowolając nie tylko szarego widza, ale również „kichtologów” z całego świata. Z uzaniem i gorąco powitał jego kreację rodacy rycerza z La Manczy — Hiszpanie. W dzienniku prowadzonym podczas realizacji tego filmu aktor pisze o swoich wątpliwościach i przeżyciach związanych z ekranizacją dzieła, o którym jego wielki rodak Dostojewski pisał: „Nie ma na świecie głębszego i silniejszego utworu. To, jak dotychczas, ostatnie i najgłębsze słowo myśli ludzkiej. To najbardziej gorzka ironia, jaką mógł wyrazić człowiek”.

Mikolaj Czerkasow nie żyje. Jeszcze dwa lata temu grał w filmie „Testament uczonego” akademika Dronowa, za którą rolę otrzymał Nagrodę Leninowską. Później rozpoczął pracę w filmie „Wynalazek inżyniera Garina”. Z jego śmiercią kinematografia radziecka i światowa traci wybitnego, znakomitego artystę.

(w. sz.)



MGR WLADYSŁAW NEGREY
dyrektor Krakowskiego Oddziału Państwowych Wydawnictw Naukowych
RYS. J. SIENKIEWICZ

Opowieści folklorystyczne

KOLBUSZOWA

Kolbuszowa — mówią — liczy tysiąc lat. Obecnie jest miastem powiatowym, a w zaraniu polskich dziejów była grodem wśród bagien. Jej założycielem był włodyka królewski, który nazywał się Kolbusz. Dobrze zadbał o obronność swego grodu. Pobudował go nad rzeczką Nilem na wzgórzu, do którego wstępu broń pierścieni zdradnych trzęsawisk, a za nimi nieprzebyte lasy.

Kolbusz na hyr w okolice jakie budowniczy warowni, rycerz i myśliwy. Tak był królom potrzebny w Puszczy Sandomierskiej.

Ale na świecie wszystko się zmienia. Kolbusz nie wiekował. A jego potomkom inaczej żyć wypadło. Kolbuszowa w czasach późniejszych nie potrzebowała być warownią — tak daleko od granic. No to zastąpiła wyrobami meblarskimi, targowicą na żywność i ściegiem na swe jarmarki.

Tylko na tym nie skończyły się jeszcze dzieje Kolbuszowej. Traktowana (nie tak dawno) trochę jak stara dżura za lasem, unikała przecież losu małych miasteczek i czeka ją

nowa chwala. Przyczyni się do tego, można wróżyć, rozwijający się tutaj przemysł (betoniarski i obuwniczy) i zaplecze siarki tarnobrzeskiej. Na razie Kolbuszowa nie jest połączona z tym zagłębieniem szynami, lecz gdy linia kolejowa spleta już ją z wojewódzkim Rzeszowem, połączenie takie z Tarnobrzegiem, to już bagatelka do zrobienia. Przez Tarnobrzeg Kolbuszowa będzie jeszcze lepiej niż przez Rzeszów połączona ze światem. Jest piosenka o tym, że się w Kolbuszowej (podobnie jak w Częstochowie) wielkie cuda działy, ale dzieła się będą wiekaze, przybliżenie Kolbuszowej koleją do siarki, owe cuda sprowadzi.

Jeno po co to wyprzedzać domysłunkiem, czego dotąd oko nasze nie ujrzało, o czym ucho jak o fakcie nie słyszało? Będzie miał co opowiadać o nim, gdy się dokona, chyba ktoś inny. Opowiadacz winien być naczynym świadkiem.

Pogaduszka zastyszana od mieszkańca Kolbuszowej opracował
WLADYSŁAW DŁUGOSZ

WIDNOKRAG odpowiada

Wl. B. — Jarosław: Niestety z opowiadania nie skorzystamy. Wasze przewidywania co do ostrych akcentów były słuszne.

Krystyna — Jasto: Nadesłane nam wiersze „współczesne” wcale nie są współczesne, lecz po prostu źle. Brak im obrazowości, sensu i liryczności. Zawodzi logika skojarzeń („twarde oblicze, pęk beziemności”), razi naiwny i banalny sentymentalizm („gorycz umyka w łkaniu serca,

złubne marzenia, smutne opamiętanie”). Trzeba dużo czytać dobrych współczesnych wierszy.

K. B. — Mielec: Z nadesłanych frazsek nie skorzystamy, mimo iż widać u Pana pewne możliwości satyryczne. Brak im jeszcze zwieźłości, ostrego dowcipu i siły uogólnienia. Proszę jednak utrzymywać z nami kontakt.

K. S. — Zagórz: Z ostatnią strofą wiersza się zgadzamy: „Niechaj złota jesień trwa. Niechaj będzie wciąż pogoda. Niechaj tęskni tak jak ja za przyjaźnią i za zgodą”, ale drukować nie będziemy, bo to jednak nie poezja.

St. P. — Jarosław Z. K. — Bańdówka, powiat Sanok: Nie skorzystamy.

Zdarzenia tygodnia

10 bm. zespół Państwowego Teatru Lalki i Aktora „Kacperek” wystawił w sali Teatru im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie „Stara baśń” Józefa Ignacego Kraszewskiego w adaptacji scenicznej Marii Siedmiograj. Przedstawienie wyreżyserował Stefan Stojakowski, scenografia Jerzego Szymańskiego, oprawa muzyczna Zbigniewa Jeżewskiego.

Notując w rubryce premierę „Starej baśni” chcemy podkreślić trafność wyboru do repertuaru dla najmłodszych mieszkańców woj. rzeszowskiego tej właśnie tematyki, jaka powinna być uwzględniona w ostatnim roku obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego.

Nie notowaliśmy w „Widnokregu” urzędzonej w rzeszowskim Domu Sztuki wystawy pt. „Oświećmy w sztuce”, gdyż była ona tematem obszernej informacji, zamieszczonej w „Nowinach Rzeszowskich” z okazji jej otwarcia. Dziś należy stwierdzić, że cieszyła się ona wśród mieszkańców miasta i województwa dużym powodzeniem, czego wymownym dowodem była duża frekwencja.

Jak wynika z informacji uzyskanych w Biurze Wystaw Artystycznych ekspozycje zwiędziały ponad 8 tys. osób bądź to indywidualnie, bądź zbiorowo. Treść zapisów w księdze pamiątkowej świadczy najdobitniej, że społeczeństwo polskie nie zapomina o zbrodniach hitlerowskiego ludobójstwa.

W niedzielę, tj. 16 bm., w Wojewódzkim Domu Kultury odbędzie się urządzona wspólnie z ZW TPPR narada działaczy kulturalnych, nauczycieli i instruktorów k.o. z terenu województwa poświęcona przygotowaniom do obchodów Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej oraz omówieniu wytycznych XIII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego, który będzie przebiegał w przyszłym roku pod znakiem obchodów 50 rocznicy tego wydarzenia. Na naradzie omówiono również wymogi w doborze repertuaru, jak również zasady współczesnej interpretacji poezji i prozy.

13 bm. w WDK w Rzeszowie otwarto wystawę prac nadesłanych na ogłoszony przez Wydz. Kultury Prez. MRN w Rzeszowie i Rzeszowskie Towarzystwo Fotograficzne konkurs pt. „Piękno ziemi ojczystej”.

Ekspozycja zawiera 70 fotografii, obrazujących pejzaż, architekturę i zabytki.

Jury konkursu oceniło około 150 prac, nadesłanych przez 15 amatorów z terenu całego województwa. I nagrody nie przyznano, II otrzymał Zdzisław Postępski z Rzeszowa, III Jerzy Zak i Jerzy Jawczak z Rzeszowa oraz J. Swindryk z Gorli.

Muzeum-Zamek w Łańcucie organizuje w październiku cykl odczytów, poświęconych sztuce Wschodu (Chiny — Japonia) i jej wpływom na Europę. Wykłady prowadzi dr Lucja Sobiecka, kier. Ośrodka Badań Sztuki i Kultury Krajów Azji i Afryki przy Muzeum Narodowym w Warszawie.

W Sięzakach, pow. Tarnobrzeg, otwarto w czwartek ekspozycję prac rzeszowskich artystów plastycznych Cezarego Kotowicza, Jana Maternickiego, Zdzisława Ostrowskiego i Mariana Stróńskiego, ofiarowanych szkole Tysiąclecia w tej miejscowości.

Po wystawie w ZDK rzeszowskiej WSK i w Salonie Wystawowym opolskiego Biura Wystaw Artystycznych w Opolu, w Liceum Ogólnokształcącym w Biecku ekspozycyjny jest zestaw prac pt. „Malarstwo i grafika” nadesłanych na konkurs, ogłoszony z okazji tegorocznych „Dni Rzeszowa”.

W dniach 12 i 13 bm. w Powiatowym Domu Kultury w Sędziszowie odbyła się zorganizowana przez WDK konferencja dla instruktorów k.o. powiatowych i zakładowych domów kultury, poświęcona dydaktyce i działalności oświatowej.

JESZCZE WSPOMNICIE

Karolek doczekał czasów, które pobytu pod wozem już nie znają. Zdobycze ludzkości zapewnił wszystkim pobyt na wozie i to wygodny. Zastępy specjalistów tylko czekały, żeby czemuś nieprzyjemnemu zapobiec, kłopoty nie istniały. Karolekowi wystarczyło do pierwszego, dzieci podłączył na noc do maszyn samouczących, w szkole miały same piątki. Stolek w biurze miał tak wygodny, że o jego zmianie ani myślał. Owszem, był meczyną, ojciem dwojga dzieci, miał wszystko na raty i tak sobie przemijał. Nowy dzionek zaczynał się dlań szlachetliwym laskotaniem w stopę, przyrząd kosztował grosz, montowało się go w nogach tapczanu, a radość sprawiał ogromna. Przebudziwszy się rano, ślewnął głośno, automatycznie włączało się radio i telewizor, te z kolei uruchamiały automatyczną kuchnię, kuchnia woda w lazience, woda wlawała maszynkę do golenia, maszynka otwierała drzwi od garażu. Żadnego wysiłku, ekonomizacja procesów, synchronizacja urządzeń. Podczas ubierania, które nie było niczym się nie włączało, Karolek polknął wysokokaloryczną bułkę wsiadł w smochód i pognął do pracy. W aucie wysłuchiwał horoskopu na cały dzień. Najbliższe dni zapowiadały się re-relacyjnie. Karolek pracował intensywnie.

W czasie przerwy specjalne rodzaje muzyki oczyszczają jego podświadomość ze śmieci monotonii. Jakoś przyczyścił się szybkiej i zawiadnieto nim dzwone uczucie pokłócenia się z kimś, nawymyślenia, już przybrał był postawę, w porę się jednak zreflektował, bo objaw chęci mógł dojrzeć miejscowy psycholog, w obawie przed dodatkowymi zabiegami przestał się wygłupiać. Wracając do domu wysłuchiwał propozycji przedsiębiorstw organizujących wypocynęk. Proponowano różnie, od polarnych przygod, długich nocy, przez egzotyke tropiku do podwodnych polowań. Karolestwo mieli to za sobą, czekali na coś bombowego. Aż nagle z eteru popłynęła reklama, jakiej jeszcze nie słyszal. Rezerwat, w którym wyprowadzają z równowagi, zbudowany przez speców psychologów i głębokich ostepach leśnych. To będzie niespodzianka dla rodzi nych. Reklama szermowała chwytami — ogarnięcie cie szewska pasja, pozmasz podświadomość współtowarzysza. Znany psychanalitik udowodnił, że trafienie szlakiem raz na kwartał to zdrowie. Zdecydował — jedziemy.

Dojechali. Osobliwie wyglądał ten rezerwat. Sztyd oznajmiał — „Disneyland Trosek”. Przy wjeździe czekali jakiś godzinę, stojąc grzecznie w kolejce, wresz-

cie wykupili bilet i bajda po przygodzie. Dojechali do jakiejś stancji, Karolek zarządził przerwę na obiad. Wszedł do budynku — na drzwiach kartka „sprzątanie sali”, zapytany pracownik wyjaśnił, że i tak szkoda czekać, bo obiady wykupia wycieczka fryzjerów. Karolek miał dość żartów, pognął do kierownika, niestety, nie zastał go, był na odprawie, a naczelny w sprawie skarg przyjmował dopiero we wtorek. Z nadzieją na zapowiedziany program pomknął dalej. Z kolei głos zabrała Karolek, a dłuż-

sze przemówienie skwitowała sentencja. — że też wyszłam z takiego lebiego, gdzie ja miałam oczy, a nieboszcza mamusia dobrze radziła.

Po kąbach wytwornej limuzyny kwiliły Karolka. Najgorsze miało ich dopiero spotkanie. Nocleg. Zaspana recepcjonistka skrupulatnie analizując wypełnioną wnioskami, kopiowym ołówkiem wypisywała paragony. Dostali miejsca na wspólnej sali, działyki ułożono do snu, a Karolek stanął za kolacją. Z dań, które nie wyszły, były klopsiki z kaszą, do stał, owszem, ale już tylko kasza — dobre i to. Strudzeni położyli się do łóżek, do snu kółki dobiegający z podwórka głos gitar elektrycznych — to syta wycieczka fryzjerów cleszyła się pełnią życia. O pierwszej po północy fryzjerzy radowali się coraz głośniej, a na uwagę Karola, że późno, odpowiedzieli nieładnym przypuszczeniem. Wściekły, wybiły ze snu włączył tranzystor, ostatecznie mu wolno, już on im pokaze. Ktoś z sali próbował oponować — odwarknął, jak się nie podoba, to proszę z „Orbisem”. Argument był widac przekonywający, bo sale zalega cisza, widocznie słuchano muzyki. Poranek był zmora, Karolek w kolejkę do kranu zajął miejsce z numerem 23. W drobinie wody Karolekowi przemyla oczy, a gdy nim spojrzala na świat, Karolek żałował, że stał po te wode. Oczekiwanie na niespodziankę zaczęło się dłużyz, darując organizatorom wpłaty zarządzono odwrót. Były przedz do domu.

Niestety, w tym przepięknym uroczysku lesnym brak było zupełnie zna-

ków informacyjnych, błakali się jeszcze pół dnia. Wreszcie jest „on”, symbolizująca „koniec rezerwatu”. Na samochód rzuciło się gono reporterów, dziennikarzy, padały pytania, błyskały flesze, szemrały magnetofony. Karolek tylko warknął — won — i pognął do maziącego w dali motelu.

Na progu czekał uśmiechnięty kierownik, uprzejmym gestem zapraszał do środka, samochodem zapolekował się mechanicz, po puszystych dywanach weszli do środka. Ogarnął ich przyjemny chłodek, specjalne wiatrak tłoczyły do wnętrza morskie powietrze, nad głowami zawisła cisza. Bezszelestnie podszedł kelner, w milczeniu podał wysokokaloryczne jado. Dzieci zjadły po pigulce i poszły spać. Gustowne meble i obicia tworzyły nastrój buduaru. Zjedli i z zadowoleniem oglądali program telewizyjny.

Karolek nie był jednak w pełni szczęśliwy, choć wrócił do normy, niespokojnie się wiercił, ciągle czegoś dożykał. Wreszcie rzekł głośno — jedźmy. Jak długo mamy śnić w tej smutnej knajpie. Przybiegli przerażony kierownik, może państwa czegoś brakuje? — właśnie że niczego.

W samochodzie żona i zaspane dzieci nieco dziwnym wzrokiem patrzyły na zmienionego tate. Karolek po długim namyśle przemówił — wiesz co Fela, w przyszłym tygodniu to my pojedziemy do tego lasu. Weźmie się trochę żarcia z domu — tam się przynajmniej coś dzieje!

Kot.